



ODDĄTOSY

Komunikat w tej sprawie jest znany. Władze nie mogły dłużej tolerować nielegalnej drukarni znajdującej się w Instytucie Prymasowskim na Jasnej Górze. Dodajmy — działalności — jak świadczą skonfiskowane druki — wymierzonej w ustrój państwowy Polski.

Ludzi, którzy co dzień licznie przychodzą z pielgrzymkami na Jasną Górę niewiele obchodzi polityczne aspiracje hierarchii kościelnej. Fakty dowodzą, że działalność części kleru wymierzona przeciw socjalizmowi nie cieszy się poparciem znacznej większości ludzi wierzących. Ludzie nie przychodzą tu, aby zajmować się polityką. Przybywają z najdalszych krańców Polski, zmęczeni, zakurzeni. Wierzą, że tu, u cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej znajdują ukojenie i zrozumienie. Przychodzą pełni nadziei — nadziei, które nigdy spełnione być nie mogą. Ale tym, którzy organizują te pielgrzymki bynajmniej nie o spełnienie ludzkich nadziei idzie. Chodzi o manifestację — polityczną manifestację siły hierarchii kościelnej.

A ludzkie złudzenia? Fotoreportaż z Jasnej Góry patrz strona 3.



Patrz reportaż str. 10

PO CO JECHAĆ NA RIWIERE

MIŁOŚĆ MAŁŻEŃSKA



Na str. 8 felieton
W. RYMKIEWICZA z cyklu
ROZMAITOŚCI STAROPOLSKIE

TYGODNIK
ŁÓDZKI

Rok I. ŁÓDŹ,
dn. 17 sierpnia 1958 r.

nr

25

...bo ludzie
nie przychodzą
tu politykować...



Na kopie żętego zboża postawiono stracha. Będzie straszył wróble. A może?... Może ma i inne przeznaczenie? Doruchów uważano przecież za siedlisko czarownic.

...Pamięć ludzka jest jak wielkie jezioro, zdarzenia biją w nią na podobieństwo głazów. Dopóki w uszach trwa echo plusku, póki na wodzie tańczą kręgi — zdarzenie pozostaje w pamięci jak żywe; potem zaciera się i wreszcie znika prawie zupełnie. Czasem tylko w pogodny dzień ktoś spojrzy z mostu na dno przejrzystej wody — dostrzeże głaz i wspomni. Czasem ktoś gdzieś coś wyczyta, porozmawiają — zdziwią się, jak nurek, gdy nagle uderzył się w wodzie o omszały i niewidoczny głaz,



CZAROWNICE Z DORUCHOWA

...Jeszcze tylko stary Ludwik Godek, który ma siedemdziesiąt lat, odrobincę pamiętał z tego, co opowiadała mu babka. Jeszcze tylko on jeden w całym Doruchowie mógł mnie zaprowadzić na kopiec graniczny między Płą i Doruchowem, gdzie przed niespełna dwustu laty wydarzyła się ta straszna historia. W podworskim parku staliśmy nad stawem na drewnianym wiekowym moście, z którego jedynie żebra zostały. Patrzyliśmy w mętną, zielonkawą toń, padł na

nas strach, jakbyśmy spoglądali w spuchniętą siną twarz topielca.

...W wydrukowanej sto lat temu książce pozostała wierna relacja człowieka, który był tego zdarzenia naocznym świadkiem. Ale, o ironio, ten który zdarzenie to na zawsze utrwalił w naszej pamięci, sam nie ocalił dla nas swego imienia i nazwiska. Jako anonimowy świadek figuruje w książce L. T. Tripplina „Tajemnice społeczeństwa wykryte w sprawach kryminalnych krajowych”, wydanej we Wrocławiu w 1852 roku.

DALSZY CIĄG

str.

5

WŁADYSŁAW PAWLAK

Dnia 3 sierpnia br. zmarł Władysław Pawlak, pisarz łódzki zarówno z pochodzenia jak i z charakteru swojej twórczości. Urodził się 25 grudnia 1902 roku w Łodzi przy ul. Rokocińskiej 11-15. Ojciec jego był murarzem, matka tkaczką, która „od 8 roku życia pracowała — jak zaznaczył zmarły z dumą w swoim życiorysie — ponad pięćdziesiąt lat w jednej fabryce Scheiblera na Wodnym Rynku”. Po matce zapewne odziedziczył przyszły pisarz upór w pokonywaniu niezwykle ciężkich warunków życiowych i niezłomną wolę w zdobywaniu wiedzy. Jak większość dzieci proletariackich nie miał możliwości w warunkach sprzed pierwszej wojny światowej chodzić do szkoły. Oddany na wieś, aby odciążyć głodowy budżet rodzinny, posłał krowy. Dopiero w jedenasty rok życia dostał się do szkoły. Chodził do niej zaledwie cztery lata. Już wtedy zrodziły się w nim marzenia o pisaniu książek, książek o Łodzi i łódzkich robotnikach, i o ich trudnej doli w ich podwójnej krzywdzie — nędzy i ciemności.

Brak wykształcenia szkolnego starał się nadrobić samouctwem. Ale to samouctwo, uprawiał na marginesie codziennego wysiłku o zdobycie kawałka chleba. A było to

w czasach permanentnego niemal bezrobocia w Łodzi. Toteż chwycił się każdej pracy i każdego zajęcia, które otwierały możliwość jakiegokolwiek zarobku. Był sprzedawcą i roznosicielem gazet, był chłopcem na posyłki, był gońcem, pasażerem wsi, pracował jako robotnik na tartaku, w stolarni, w ślusarni, potem praktykował jako szewc, następnie pracował w fabryce, wreszcie zdobywszy jako ekstern maturę około trzydziestego roku życia został urzędnikiem w biurze, kierownikiem kina, księgowym, a po drugiej wojnie światowej wicedyrektorem Liceum Dentystycznego.

Te niezwykle bogate i różnorodne doświadczenia stały się materiałem jego twórczości, którą mógł uprawiać jedynie na marginesie tych wielostronnych zajęć, obciążony ponadto obowiązkami rodzinnymi. Jego chłopięce marzenia o pisarstwie zrealizowały się dopiero w roku 1936, kiedy to ukazała się jego pierwsza powieść pt. „Kamienica wielkiego miasta”, nagrodzona na konkursie „IKC”. Powieść ta narzuciła się uwadze publicznej swoim wyrazistym obrazem życia robotników łódzkich. Powitano w jej autorze samorodny talent, który braki artysty okupował autentycznością treści. Równocześnie ogłosił Władysław Pawlak kilka broszur polity-

cznych. Już same ich tytuły, jak „Piekło chałupników” lub „Kultury dla mas”, świadczą o przeżywaniu autora w kręgu wpływów ówczesnej KPP. Jakoż w czasie drugiej wojny światowej zgłasza akces do szeregów PPR, pragnąc wziąć udział w zorganizowanej walce z okupantem, za co został osadzony w więzieniu, z którego uratował się podczas ewakuacji.

Po wojnie był aktywnym członkiem PZPR, jednocześnie brał żywy udział w organizacyjnym życiu łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich. Wydał nową powieść o przedwojennych szwach pt. „Strajk albo nie strajk”, napisał dramat antywojenny pt. „Nigdy więcej”, drukował powieści odcinkowo w jednym z dzienników łódzkich pt. „Łódź w latach grozy”, a tuż przed śmiercią złożył w Wydawnictwie Łódzkim nową powieść osnutą na tle życia powojennego robotników łódzkich.

Władysław Pawlak to rdzenny i samorodny pisarz łódzki. Pisarz, który swój awans społeczny zawdzięcza awansowi historycznemu klasy robotniczej, która go wydała. Miasto, w którego obrębie zawarł całe swoje życie i całe swoje dzieło literackie, zachowa go we wdzięcznej pamięci jako najwierniejszego swego syna.

Nasza szkoła

Podróże kształcą



Serdeczne Bóg zapłać za wszystkie tak liczne listy od drogiej i wdzięcznej Czytelniczki, zawierające słowa entuzjazmu i podziękia za to, że przestałem pisać Belfra.

Tak dobrze to jednak jeszcze nie jest. Uczyniłem tylko małą przerwę, poświęcając podróży do dwóch miast: Londynu i Paryża.

„Dobrze się dzieje takim s... synom” — powiecie pełni kurtuzji. „Wysyłają ich t a m”. Guzik wysyłają. Sam się wysłałem. Aby zaś z podróży mej był przecie jakiś społeczny pożytek chętnie nauczę Was, jak się to robi.

Żeby wyjechać, zdobyć trzeba paszport i pieniądze. Aby zdobyć paszport, trzeba mieć pretekst. Dla zorganizowania pretekstu zainwestowałem zł polskich 100 na bilet do Warszawy i z powrotem. W Warszawie udałem się na pocztę główną, która jest posiadaczką londyńskiej książki telefonicznej. Wyszukałem tam — żadna sztuka — cztery osoby mieszkające w Londynie i noszące to samo co ja nazwisko. Do osób tych wysłałem listy, w których przedstawiłem się, wyjaśniłem, że moim marzeniem jest wydotanie się do wolnego świata i proszę o wystosowanie do mnie zaproszenia, jako brata lub syna. Zapewniwszy, że z zaproszenia w sensie noclegowo-wyżerkowym korzystać oczywiście nie będę, życzyłem serdecznie dzięki i pozdrowienia.

Odpowiedź przyszła jedna, ale za to pozytywna. Złożyłem tedy wniosek o paszport i wizę, wpisując oczywiście i Paryż, jako że nasze władze przyzwyczajone są i przyuczony, że jak ktoś jedzie do Londynu, to i Paryża nie omini.

Pozostawała sprawa pieniędzy. Piętnastu mniej więcej tysięcy. Tu z pomocą zaradnemu człowiowski przyszedł przypadek. W mej obecności ktoś opowiadał, że w roku 1948 Pablo Picasso, bawiąc na Kongresie Intelktualistów we Wrocławiu naszkicował karykaturę szofera, który go woził i wręczył mu ją w upominku. Przeglądając stare akta wy-

szkolenia i z pewnością dobrze jest do pracy przygotowanych. Zresztą, na ile wolno mi sądzić tak delikatną sprawę, wszyscy pracownicy wykazują dużo zapału do pracy. Ale głową mru nie przebijesz, gospodarstwo za duże, wszystkie go opanować nie sposób.

Pozostają pracownicy „niższego szczebla”. W 21 powiatach pracuje przeważnie po jednym człowieku „od kultury”. Kultura — jak mi przy wielu okazjach wyjaśniano — „zlewa się” tu i ówdzie z oświatą, a więc nie wszędzie będziemy mieli referaty kultury. W tych referatach 9 powiatowych ministrów kultury nie posiada nawet średniego wykształcenia. Wykształcenie może w pewnych okolicznościach zmanierować samorodnego twórcę ludo-

wego, zgoda na to, ale z punktu widzenia aparatu kierującego czy wspierającego ruch kulturalny, sprawa wygląda odwrotnie. Co kolwiek by nie mówić — polityka kulturalna polega na wyborze, trzeba go umieć dokonać, trzeba mieć kwalifikacje. Nacisk szmiry, szkodliwych wychowawców i ideowo treści kulturalnych, podsuwanych przez chałurzystów, czasem parafie, jest dziś silny. Musi więc znaleźć rzeczową, przekonującą odpowiedź, a nie tylko nakaz. „Nie plu”, „nie depcz”, „nie zaśmiecaj”, „nie lam” — zwykły nakaz, który nie wymaga specjalnie tegiej głowy, nie może być przecież jedynym podstawowym elementem polityki kulturalnej. Im więcej zresztą tych nakazów, tym mniej kultury.

miast kawy dałem Picassa, kawę zaś usiłowałem sprzedać funkcjonariuszowi ludowej policji. Tak więc zanim wytrzeźwiałem do reszty przekroczyłem polską granicę na powrót w towarzystwie jednego kolegi po fachu. Kraby i homary pojechały dalej. Jeśli mimo niepowodzenia spisuję dla Was niniejsze pouczenie, to czynię z pełnym przekonaniem o jego pożyteczności: plan był doskonały, szwankowało tylko wykonanie.

I wreszcie, jeśli, jak wynika z powyższego, nieprawdą jest jakoby spędzał czas w Paryżu i Londynie, to nie zmienia to faktu, iż spędziłem go w równie przyjemnym, acz zaciszniejszym miejscu. To wszystko.

Ze smutkiem nie dowiadujemy się, jakoby nasze drogie władze przygotowały jakieś zmiany w przepisach dotyczących wyjazdów zagranicznych. Jest to zjawisko bardzo niedobre. Po pierwsze bowiem sprzeczenie z tradycją. Po drugie zaś powodujące, że ludzie zasklepiają się w znanych i uznanych, starych i wypraktykowanych formach kombinowania wyjazdów zagranicznych. Cierpi na tym różnorodność narodowej inwencji, pomysłowości i twórczej myśli ludzkiej, która powinna kroczyć wciąż naprzód.

BELFER

P. S. Mimo użycia w powyższym opisie osoby pierwszej, co pochlebiam sobie — może podważył Waszą wiarę w jego autentyczność, cała technologia zagadnienia jest w pełni prawdziwa i zawiera adekwatny opis czynności przedwyjazdowych jednego konkretnego, istniejącego człowieka. Prawdziwy jest również finał.

Odbędzie się tylko proces cywilny z prywatnego oskarżenia szofera — właściciela, a właściwie byłego właściciela rysunku Pabla Picassa. B.



Za tydzień w tej rubryce

DZIEWICE I TERROR

Sprawa kwalifikowanych kadr wysuwa się więc po decentralizacji na czolo kłopotów.

WIDMO ZAPŁOCIA

Polityka kulturalna polega na wyborze. Ale z wyborem także kłopot. Nie bardzo jest w czym wybierać — to widać w naszym województwie bardzo wyraźnie, gdzie indziej też. Np. sytuacja w zakresie repertuaru dla teatrów amatorskich przedstawia się po prostu groźnie. Jeżeli na scenę świetlicową wkrocza, otrzeżniana z kurzu, „Gorzałka” Anczyca, to może i dobrze. Pijemy jak z dawnych lat, a nawet lepiej, jeśli uwzględnić postęp techniczny. Ale już takie dzieła jak „Zaloty na kwatery”. „Panna re-

[Dokończenie na str. 7]

WIESŁAW JAŻDZYŃSKI

INICJATYWA BEZ ETATU

Prawdę mówiąc — nie widzieliśmy dotąd na oczy rzetelnej oceny sytuacji kulturalnej w naszym województwie. Można zadać sobie wiele trudu, można przeczytać np. roczniki prasy łódzkiej, ale od tej lektury nikomu mądrości w tym zakresie nie przybędzie; problematyka kulturalna województwa prawie nie istnieje w naszych dziennikach. Dowiesz się raczej o życiu kulturalnym Laszaruwego Wybrzeża, Oslo, Paryża czy Pekinu, niż Sieradza albo Rawy. Nasza prasa, i owszem, krzewi uczucia patriotyczne, ale przedmiotem tej lokalnej dumy bywa najczęściej piłkarska drużyna ŁKS. O niej mówią w wywiadach sekretarze, literaci, rozmaite koronowane z woli ludu głowy, ale nigdy o twórcach ludowych z Rawy, Łowicza i Sieradza, którzy odnieśli piękny sukces na ostatniej wystawie w stolicy i mają szansę pokazania się na szerszym świecie.

Daremne także okażą się poszukiwania choćby tylko broszur, czy — niech już będzie — albumów fotograficznych, pokazujących życie kulturalne naszego terenu. Znajdziemy co najwyżej krótkie wzmianki informacyjne, zresztą bardzo symptomatyczne. Nasi twórcy ludowi świecą w kraju triumfy — ceramicy, wycinankarze, tkacze... Nasze kapela ludowe i wokaliści zdobywają pierwsze nagrody, zdobywają je recytatorzy, konkurs na wystawę książek rolniczych także przyniósł sukces województwu.

LEPSZA MAŁA PRAWDA...

W atmosferze ogólnego marzenia, w pewnej mie-

rze słusznego, fakty te nastroją optymistycznie. Okazuje się, że i z czytelnictwem nie jest tak źle. Najlepszy dowód, że pracownicy naszej Biblioteki Wojewódzkiej nie otrzymali orderów. Nie otrzymali dlatego (mowa o tzw. „milionowym okresie”), że nie składają „dumnych meldunków”. Taki meldunek obiecywał na papierze jeszcze 100.000 nowych papierowych czytelników „w terminie do dnia...”. Jeżeli jedno województwo obiecało pół miliona entuzjastów literatury schematycznej, to drugie pół i jeszcze ówczartkę. U nas nie robiło się na ogół tych rzeczy i chociaż na skutek tego nie spadł deszcz orderów, nie spadło także czytelnictwo, ponieważ określano je w granicach prawdy. Po prostu mamy na łódzkiej wsi 150.000 czytelników, wiemy, że w ubiegłym roku przybyło 7.000 czytelników. Cyfry może nie imponujące, ale tę mają zaletę, że nie kłamają. Lepsza mała prawda niż wielka bujda.

LUDZIE „OD KULTURY”

Trudno się, przy analizie amatorskiego ruchu kulturalnego, oprzeć urokowi niektórych postaci. To, co o tym ruchu z dawien dawna stanowi, można by nazwać — bezinteresownością, czystością, czy społeczną postawą działaczy. I dziś w dużej mierze ruch kulturalny stoi na entuzjastach, dobrej woli, wewnętrznej potrzebie człowieka. Jeżeli Jan Noga z Rudnik (Wieluńskie) i rektor teatralny sam zamiatuje, sporządź atlas stróżów teatralnych, poprowadź zespoły teatralny i muzyczny — to o jego postawie z pewnością przesądza wrzuszająca bezinteresowność,

potrzeba serca, przecież nie opłacona z kieskiego budżetu Wydziału Kultury. Tak jest ze znanym w kraju Kaźmierczakiem z Łowicza i jego zespołem, panią i Szablicką z Tomaszowa, Marciniakową z Gańkówek, Szymańską z Piątku i wieloma innymi. Zaprawdę powiadam wam, iż cieszyć się z tego należy, że szczerze inicjatywy ludzkiej nie udało się nam wziąć na etat, wpisać do planu i wyznaczyć termin wykonania, albowiem kłapałaby jak amen w paclerzu, albo jak referaty kulturalno-oświatowe w niektórych związkach zawodowych.

Ocałał więc w naszym województwie bezenny wprost kapitał ludzki, przy którego pomocy łatwiej będzie przezwyciężyć część przynajmniej trudności. A jest ich, jak zwykle, немало.

Stoimy przed jesiennym sezonem kulturalnym, pierwszym po decentralizacji „w kulturze”. To znaczy, że przejmujemy sporą ilość zadań, wykonywanych dotąd przez Ministerstwo. Ma to swój sens i dlatego (decentralizacji uzasadniać nie trzeba), że Ministerstwo wciąż się reorganizuje, departamenty łączą się, rozdzielają, kontredans ministerialny trwa, dogadają się trudno. Ale to znaczy przede wszystkim, że gospodarzemy sami. Dobrze, lecz kto tu gospodarzy, czy sobie poradzi, czy opanuje — w sensie ogólnego kierownictwa — rozległe obszary województwa? Myślę, że nie bardzo sobie poradzi i chyba nie opanuje należycie.

Użyjmy przykładu. Wojewódzki Wydział Kultury ma 16 pracowników (kiedys było ich ponad 20, ale w miarę wzrostu zadań liczba pracowników maleje). Z tej 16-tki, 7 osób posiada wyż-

szego wykształcenie i z pewnością dobrze jest do pracy przygotowanych. Zresztą, na ile wolno mi sądzić tak delikatną sprawę, wszyscy pracownicy wykazują dużo zapału do pracy. Ale głową mru nie przebijesz, gospodarstwo za duże, wszystkie go opanować nie sposób.

Pozostają pracownicy „niższego szczebla”. W 21 powiatach pracuje przeważnie po jednym człowieku „od kultury”. Kultura — jak mi przy wielu okazjach wyjaśniano — „zlewa się” tu i ówdzie z oświatą, a więc nie wszędzie będziemy mieli referaty kultury. W tych referatach 9 powiatowych ministrów kultury nie posiada nawet średniego wykształcenia. Wykształcenie może w pewnych okolicznościach zmanierować samorodnego twórcę ludo-

MOTTO:

Lecz nim ich zbawisz, przed
strażą cichaczem
racz przynieść głodnym chleba
i dzban wody...

Leopold Staff
„Modlitwa“

Piękna, surowa Pani z zadumą spogląda na tłumy wier-
nych. Jej obraz przechowywa-
ny jest w wielu, wielu pol-
skich domach. Wychowano ich
w przekonaniu, że to właśnie
Ona jest Opatrznością Narodu,
Naczyniem pełnym sprawiedli-
wości i dobroci, że Kościół
przez Syna Jej stworzony,
to ostoja polskości i patriotyz-
mu.

... bo ludzie nie przychodzą tu politykować...

Ci, którzy powiadają, że
wiek XX jest końcem mitów
zdają się zapominać, że tra-
dycyjna mitologia ma mi-
liony wyznawców. Bo choć
surowa piękna Pani na ka-
piącym złotem obrazie po-
zostaje niewzruszona, marze-
nia i nadzieje pielgrzymów, o
których spełnienie przybyli tu
błagać — nie zrealizowane, od-
chodzą stąd z głęboką nadzie-
ją, że może następnym ra-
zem... Uczono ich przecież „Pan
Bóg nierychliwy, ale sprawie-
dliwy“. Są cierpliwi, gotowi
czekać...

Ona — Pani z obrazu — nie
stworzyła WIELKIEGO.MITU,
stworzyli go ludzie w sutan-
nach i habitach, którzy są or-
ganizatorami złudzeń i marzeń
nigdy niespełnionych...

Szafarze złudzeń...

Patrzą na zebrane tłumy
pielgrzymów i zdają się mó-
wić — patrzcie jak potężni je-
steśmy. Bo też to właśnie jest
ich celem. Zamanifestowanie
swej potęgi. Zbicie kapitału
politycznego, który nie w celu
poparcia tych, co wzięli na sie-
bie ciężar ustanowienia spra-
wiedliwości społecznej, ma być
użyty. Ale swe polityczne cele
szafarze złudzeń ukrywają za
dymną zasłoną frazesów i ogólni-
ków, bo ludzie nie przycho-
dzą tu politykować... Zresztą
zobaczcie sami.

Tekst:
MIECZYSLAW
GÓRSKI

Zdjęcia:
DANUTA
RAGO



lecz prosić Majestat Boski,
żeby wejrzał na ich niełatwe życie

OSCAR LINDAY

PRZEDSMAK KLĘSKI

Saipan musi być obroniony. — Task Force 58. —
Bitwa o Saipan. — Bitwa na Morzu Filipińskim.
— Koniec podboju Mikronezji.

Telefon długo, uporczywie brzęczał, zanim generał Keito, wyrwany ze snu, podjął słuchawkę. — Mówi pułkownik Hikuriju. Na lotnisku czeka specjalny samolot, który ma waszą ekscelencję natychmiast przewieźć do Tokyo, z powodu pilnego wezwania sztabu generalnego armii.

Keito skoczył do łazienki. Zimny prysznic oddalił sennosc. Myśli szybko przebiegały po wszystkich możliwych wariantach, jakie nasuwała ta niezwykła okoliczność: natychmiastowe wezwanie do sztabu generalnego! Kontr-offensywa? Ale gdzie? Dyslokacja? To nie miało sensu! Przecież jego korpus, chluba sił zbrojnych, był jednym z ogniw łańcucha rezerw strategicznych, które mogły być użyte tylko w szczególnej i wyjątkowej sytuacji. Czyżby więc ta sytuacja nadeszła? Nie, nie, to niemożliwe! Wczorajsze raporty były spokojne. Wojna jest jeszcze daleko od granic cesarstwa!

Ale jednak natrętna myśl świdrowała mózg. Już za długo był spokojny. Od kilku miesięcy Yankeeś nie przedsięwziął poważniejszych operacji na Pacyfiku. Gdzież więc spadł ten nowy cios?

Keito nie wytrzymał i dopinając mundur połączył się z oficerem dyżurnym. — Pułkowniku, jestem gotowy do wyjazdu, czy wysłał pan samochód? — nie miał odwagi spytać wprost o sytuację.

— Samochód już czeka, ekscelencjo. — Czy znana jest panu... Czy widział pan ostatni tajny biuletyn sztabu?

— Tak, skończyłem właśnie czytać.

— I co? — Jest zupełnie spokojny, ekscelencjo. Jedyne sytuacja na Nowej Gwinei nadal skomplikowana. Generał odłożył słuchawkę skonsternowany. Nie rozumiał w dalszym ciągu.

Podróż trwała długo i była męcząca. Na lotnisku w Tokyo oświadczono generałowi, że właśnie jest czas stawienia się na specjalnej naradzie u premiera Tojo. Nie zdążył nawet zjeść śniadania.

Gdy Keito zameldował się, w gabinecie było już kilku wyższych oficerów armii i marynarki. Pierwszym rzutem oka stwierdził, że twarz premiera postarzała, a spod maski stoickiego spokoju przebijało ogromne napięcie nerwowe. Keito z trudem poznał w Tojo swego dawnego dowódcę z Kwantuńskiej Armii.

— Czekaliśmy, ale pana spóźnienie jest oczywiście usprawiedliwione. Przystępujemy od razu do rzeczy. Sprawa jest niezwykle wagi. — Tojo mówił szybko i nerwowo kreślił głową. — Otrzymałszy wczoraj poufne doniesienie, że od dawna przygotowywana ofensywa morska USA, zaszyfrowana pod kryptonimem „Task Force 58”, wyruszyła już z Hawajów i celem jej ataku jest Saipan.

Keito drgnął i rozłożył ręce gestem głębokiego powątpiewania. — Rozumiem pana zdziwienie — Tojo uniósł szkła i wpił się wzrokiem w Keito — panowie też wątpili, gdy im to zakomunikowałem, ale wiadomość jest absolutnie pewna i nie wolno nam zaniedbać niczego, aby dać

Amerikanom należytą odpawę za to zuchwałstwo.

— Jesteśmy gotowi w każdej chwili...

— Ze jesteście gotowi, generale, to wiemy. I liczymy na was i waszych żołnierzy. Tu chodzi jednak o coś więcej. Chodzi o to, aby rozbić Amerykanów. Rozbić Dlatego zgromadziliśmy się w tak licznym gronie.

Tojo wyjął z kieszeni pęk kluczy, obrócił się na krześle i otworzył ukryty w ścianie sejf, wyjmując z niego pozornie bezładny plik papierów.

— Plan jest następujący...

Generałowie i admirałowie pochylili się nad biurkiem premiera słuchając w skupieniu jego uwag.

* * *

Admirał Nimitz i generał Mac Arthur, dzielący między sobą dowództwo sił zbrojnych na Pacyfiku, podjęli ryzykowną, ale katęgoryczną decyzję: Nie będziemy zdobywać najsilniejszej japońskiej bazy na Pacyfiku — Truck. Uderzymy bezpośrednio na Saipan. Tak czy inaczej Saipan, leżący na drodze do Tokyo, musi być zdobywany. Wobec tego lepiej zrobić to od razu i za jednym zamachem odciąć Truck, neutralizując jego znaczenie strategiczne.

Ta decyzja pociągnęła za sobą sformowanie najpotężniejszej w dotychczasowych dziejach wojen armady morskiej. Pod dowództwem admirała Spruance zgromadzono 24 lotniskowce, 10 pancerników i ciężkich krążowników, blisko 50 lżejszych jednostek i ponad 100 transportowców. Te połączone siły, nazwane „Task Force 58”, mogły podjąć skuteczną walkę z całą flotą japońską, o ile ta w ogóle zdołała się skoncentrować (na marginesie warto dodać, że już w październiku Amerykanie wysłali przeciw Filipinom jeszcze potężniejsze siły morskie, a w finale wojny, pod Okinawę, podpłynęła amerykańska flota czterokrotnie przewyższająca wszystkie siły morskie Japonii).

Na Saipanie i pobliskich wyspach: Tinian, Rota i Guam stacjonował ponad 50-tysięczny elitarny korpus Fizylierów Morskich Cesarskiej Marynarki. Przeciwnik nieprzejednany i zdecydowany na wszystko. Kluczowe wyspy, zwłaszcza Saipan, ufortyfikowane były niezwykle starannie i posiadały wszystkie środki walki, a więc zarówno lotniska dla samolotów bliskiego wsparcia, jak i tunele dla łodzi podwodnych. Pozytywnie działał i moździerz znajdowały się w wykutych w skałach tunelach i pieczarach i praktycznie można je było zniszczyć tylko bezpośrednim strzałem w wyłot tunelu.

Taka jest oto prezentacja sił, których morderczą walkę od 10 czerwca do 9 sierpnia 1944 roku, przez sześćdziesiąt dni obserwował z trwogą cesarz Hirohito wraz ze swoimi sztabami.

* * *

Dziewięć lotniskowców z grupy wiceadmirała Mitchera dopłynęło pod Saipan już 10 czerwca. Nawigatorzy dokonali ostatnich pomiarów, załogi bombowców otrzymały rozkazy, pokłady zadrażyły od ryku motorów. Zaczęło się.

Dwadzieścia minut po meldunku radarzysty, gen. Keito sprzed bunkrów dowództwa obserwował

w szklach lornety sylwetki amerykańskich samolotów lecących szykiem eskadrowym od wschodu. Myśliwce japońskie nie wyszły im na spotkanie. Zachowane zostały do operacji zasadniczej, mającej na celu rozbięcie floty inwazyjnej. Zresztą, skąd wziąć myśliwce do odparcia tak potężnej siły powietrznej? Na amerykańskich lotniskowcach było co najmniej 1800 maszyn!

Keito wszedł do schronu w chwili, gdy wokół nieprzyjacielskich bombowców wykłtyły pierwsze obłoki przeciwlotniczych pocisków. Za stołem siedzieli uprzednio wezwani dowódcy poszczególnych jednostek korpusu.

— Amerykański atak, przewidywany przez sztab generalny, rozpoczął się. Jestem upoważniony do wprowadzenia panów w plan obrony Saipanu.

Po krótkiej przerwie Keito kontynuował dalej.

— Doświadczenie wykazuje, że lądowaniu nieprzyjaciela nie zdołamy zapobiec i nie będziemy trwonić sił dla zapobieżenia temu. Natomiast mamy wszelkie szanse utrzymać linie obronne w poprzek wyspy, gdzie, jak panom wiadomo, umocnienia są najsilniejsze. W czasie tej walki flota admirała Tudjimucha zaatakuje nieprzyjaciela, który będzie miał wyczerpany zapas pocisków lotniczych i artyleryjskich. Flota amerykańska będzie musiała pomyśleć o sobie. Wówczas my kontratakem zniszczymy desant na wyspie...

* * *

Bombardowanie Saipanu trwało już piątą dzień bez przerwy. Ani śladu nieprzyjacielskich okrętów. Śmiercionośność robocizy lotniskowców nie przeszkadzała nawet japońskie łodzie podwodne.

O świcie 15 czerwca dwie dywizje piechoty morskiej ruszyły na barkach desantowych do brzegu. Wprawdzie gen. Keito nie szykował „twardej” obrony plaż, ale cały Saipan, miał zaledwie 11 km długości i obszar lądowania został przykryty dywanem ognia rakietowych moździerz i dział ze skalnych pieczar, które nie uległy bombom. Dopiero po jedenastu godzinach udało się Amerykanom chwycić i umocnić dwa wąskie przyczółki.

Dalsze cztery dni zaciętych walk przybliżyły Amerykanów do głównej linii obrony japońskiej. Tu jednak opór stał się nie do przewyższenia. Amerykanie przetrzucili więc jeszcze jedną dywizję. Walki rozgorzały wokół wybiegów betonowych japońskiego lotniska, które przechodziło kilka razy z rąk do rąk.

* * *

19 czerwca, piątego dnia od wylądowania desantu, japońska flota zniemacka zaatakowała „Task Force 58”. W wyniku zmasowanego nalotu 600 bombowców nieprzyjacielskich, kilkanaście jednostek amerykańskich, w tym jeden pancernik i dwa ciężkie krążowniki, zatono lub doznało poważnych uszkodzeń. Japończycy jednak przeliczyli się — lotniskowce amerykańskie odparowały atak. W potężnej bitwie powietrznej, która nie miała równej sobie, choć trwała tylko 45 minut, spadło w ocean 650 samolotów, w tym ponad 400 japońskich. Ogółem niemal z samo-

lotów lotniskowce japońskie, wraz z eskortującą je flotą rozpoczęły odwrót w stronę Filipin. W połowie drogi dopadła je jednak grupa wiceadmirała Mitchera i zatopila dwa oraz uszkodziła trzy dalsze lotniskowce. Równocześnie na wyspie załamał się kontratak generała Keito.

Los Saipanu był przesądzony.

Teraz amerykańska machina wojenna przystąpiła do systematycznego niszczenia umocnień. Dziesiątki tysięcy rakietowych pocisków zasypało linie japońskiej obrony. Czołgi, działa szturmowe oraz wozy pancerne z miotaczami płomieni niszczyły i wywalły bunkier po bunkrze. 7 lipca, po 16-dniowej zaciętej walce, zepchnięci na kraniec wyspy obrońcy podjęli ostatni kontratak. Trwał on pełne dwie doby i odepchnął Amerykanów pięć kilometrów! Po usianej trupami ziemi doszli Japończycy aż na tyły amerykańskich dywizji — do stanowisk artylerii. Tu jednak zabrakło im... ludzi. Na Saipanie padło 20 tysięcy Japończyków. Padł w kontrataku generał Keito i prawie wszyscy oficerowie. Amerykanie stracili 16 tysięcy ludzi, w tym blisko 4 tysiące zabitych.

Oczyszczanie terenu wyspy trwało jeszcze kilka dni. 18 lipca Tokyo oficjalnie przyznało utratę Saipanu, podkreślając w specjalnym komunikacie bohaterską postawę ludności cywilnej, która do ostatniej chwili walczyła u boku wojska.

19 lipca generał-premier Tojo podał się do dymisji wraz z całym gabinetem.

* * *

Za tydzień:

WIELKA BITWA POD FILIPINAMI



TRZEPANIE DYWANÓW
NA BLISKIM WSCHODZIE

CZAROWNICE Z DORUCHOWA

Doruchów — nieduża wioska z piękną murowaną szkołą i ładnymi zagrodami — leży niedaleko granicy województwa łódzkiego, w dawnej Ziemi Wieluńskiej.

Sierpień był — jak teraz. Tylko że rok inny — 1775. Opowiada naoczny świadek:

„Pewnego wieczoru mając się już udać na spoczynek, usłyszeliśmy krzyk blisko probostwa. Nie widząc ognia, a słysząc jęki, płacz i narzekania, wychodzimy na dwór, pytając co to znaczy.

Odezwał się Podstarość (tak wtedy ekonomów nazywano):

— Z rozkazu pana pojmujemy czarownice.

Pojmano ich siedem tej nocy; pięć żon gospodarskich, jedną wdowę i jedną służącą dziewczynę.

„Tego samego dnia pławiono je w wodzie. Był tam staw obszerny, który do dziś egzystuje. Ponieważ w całej wsi i w sąsiedztwie powstał wielki rozruch, przeto zgromadziło się niezliczone mnóstwo ludzi na to rzadkie widowisko. Dopłynęliśmy łódką naprzeciwko mostu, z którego czarownice płynęły miłośno; widzieliśmy dokładnie całą ceremonię. Wprowadzono je

wne siedlisko czarownic — gdzieś na granicy między tą wsią, a Przetoczną leżał wielki kamień zwany Łysą Górą; tam to czarownice co czwartek i wtorek miały swe nocne schadзки odbywać.

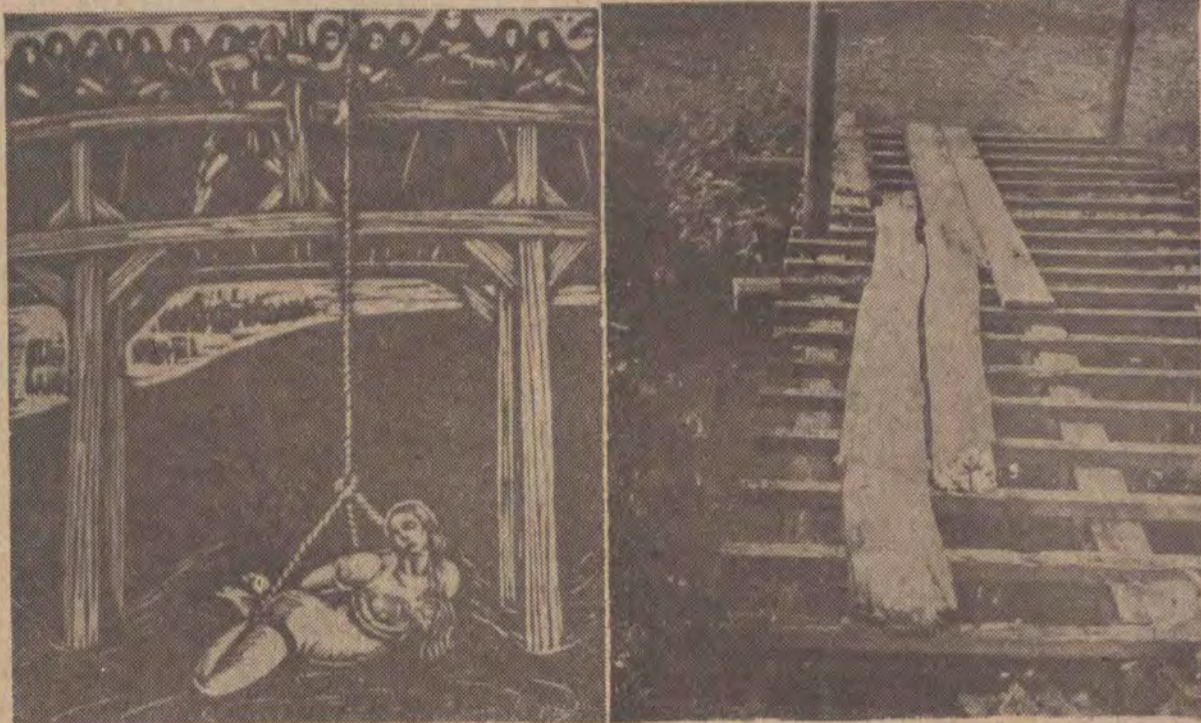
Kobieta wezwana do leczenia pani, znająca dokładnie wieś całą i wszystkie domowe stosunki, wszedłszy do pokoju zaczęła zaraz zrywać się okropnie, wymawiając przerywanym głosem:

— Cioty... cioty... zadają kołtuna. Dobra najpierwsza.

I wymieniła jeszcze kilka innych kobiet we wsi.

Blisko probostwa mieszkał gospodarz Kazimierz, człowiek pracowity, trzeźwy; żona jego gospodyni oszczędna — dlatego i mieli się dobrze. Za ich domem był sad niewielki, a w nim gruszka rodząca owoce wyborne, po które także dziedziczka nieraz posyłała, nie mając we własnym sadzie tak smacznych gruszek. Ponieważ tej gospodyni na niczym nie zbywało — nazywano ją Dobrą. Inne zaś kobiety, zazdrosne, wygadływały na nią, że dlatego ma się dobrze, ponieważ obłubienie jej — diabeł wszystkiego jej dostarcza.

Tak uchodząc we wsi za naj-



Z dawnego mostu, skąd przed niespełna dwustu laty pławiono doruchowskie czarownice — pozostały tylko gołe żebra.

ki z diabłami odprawują, wylatując na miotłach kominami na Łysą Górę, posmarowawszy się maszczą umyślnie na to trzymaną w słoikach, iż zatrzymywały w powietrzu deszcze, gdy ich było potrzeba, a w czasie słońca coraz większe ściągaly ulewy, iż rzadki ludzi postrzalamy do czego osobliwej używały strzelby, to jest rękoleści od słuczonych tygli...“

prze żywych siedział ksiądz kanonik, odprowadzający je aż na plac egzekucyjny“.

Malutki wzgórek wśród pól.
— Tak, panie. To tu... — mówi stary Godek.
Niekiedy pamiętają, że jeszcze

w literaturze fachowej — ostatnim procesem czarownic w Polsce. Wstrząśnięty straszliwym wypadkiem sejm za czasów króla Stanisława Augusta uchwalił ustawę zabraniającą odbywania podobnych ekcesów.

„Lecz cóż się stało z dziedzicem, który tak okrutnego i okropnego okrucieństwa był sprawcą? Zasłonięty nierozsądnym prawem i przywilejem stanu swego — został wprawdzie od kary bezpieczny na tym tu świecie, ale ją zapewne uczuł w głębi serca swego dręczony wyrzutami sumienia i ciągłym smutkiem. Żona jego dostała pomieszania zmysłów i wkrótce umarła, a córka, która poszła za generała St. umarła na taką chorobę“.

I pociesza się jeszcze ów anonimowy świadek doruchowskiej egzekucji, pisząc w kilkanaście lat po oglądanej tragedii:

„...W naszych czasach nie słychać wcale o podobnych historiach... Wszystkie te czarne i posępne widma, okropne skutki zabobonu, zniknęły jak nocne cienie przed dobroczynnymi promieniami oświaty“.

Czyżby? Oto co donosi prasa A. D. 1958.

ROZFANATYZOWANY TŁUM NA CMENTARZU W ŻUROMINIE

„O godz. 15.30 na cmentarzu wkroczył kondukt żałobny z trumną Stanisława Nikła. Kondukt otwierały sztandary, wieńce, orkiestra. Za trumną postępowało ok. 1500 osób. W chwili gdy kondukt znalazł się na cmentarzu awanturnicy zaczęli wznosić obraźliwe okrzyki. Trumna, którą trzeba było przecisnąć przez tłum spoczęła na zasypanej mogile. Otoczyła ją rodzina zmarłego i przyjaciele. Chuligańskie wybryki na cmentarzu, w czasie których pobito jednego z funkcjonariuszy MO, nie ustawały. Trumna ze zwłokami Nikła stała na cmentarzu około 3 godzin. Przyjaciele zmarłego utworzyli kordon przy ochronie którego wykopalili nową mogilę. Trumnę złożono do grobu“.

(„Express Wieczorny“)

Tekst:
ZBIGNIEW NOWICKI
Zdjęcia:
SZYMON LECH

przed laty stał tu krzyż postawiony „dla pamięci i przestrogi“, zie-



W tej piwnicy trzymano czarownice, zanim po okropnych torturach, wpędzono je na stos.

mia w tym miejscu nosiła ślady żaru i popiołu.

To tu, na granicy między Doruchowem i folwarkiem Piła zbudowano stos ogromny. Oprawcy wydobyszy kobiety z beczek i uchwyciwszy pod pachy wciągali je po drabinach na stos, na którym stał już kat z czterema pomocnikami. Kladli kobiety twarzami ku ziemi i klockami przyciskali kark i nogi. Później owymi beczkami stos obstawili. Trzem martwym kobietom głowy puciano.

I pisze ów naoczny świadek: „Stało wielu ludzi z pochodnią, przeznaczonych do zapalenia stosu. Jeden z sędziów zawołał: — Zapalaj stos!“

Wkrótce zapłonął. Gdy dym zaczął dusić, słychać było jęki niewinnych ofiar. Zgromadzony lud, którego było tu kilkanaście tysięcy, wtenczas dopiero doprowadzony do litości zaczął się oburzać na dziedzic, przytomnego na koniu. Ten widząc zżymanie się tłumowi, śpiesznie się oddalił. Po czym dopiero zmarłe i spalone kobiety zasypano ziemią.“

Egzekucje czternastu niewinnych kobiet w Doruchowie, nazywa się



Jeszcze tylko stary Godek potrafił w Doruchowie wskazać miejsca, gdzie działy się te straszne historie...

na most, miały ręce powiązane, brano jedną kobietę po drugiej, założono pod pachy powróz; czterech ludzi na tym powrozie spuszczało ją powoli z mostu do wody. Jedną z nich nie utonąła, albowiem suknie, a zwłaszcza obszerne spódnice nim namokły, unosiły każdą na powierzchni wody.

Dziedzic był przytomny na koniu, a widząc pływające, wołał: — Nie tonie. Czarownice!

Ludzie natychmiast wyciągali kobiety i tym sposobem wszystkie siedem zostały czarownicami“.

„Żona dziedzica zachorowała. Dostała wielkiego bólu w palcu, włosy na głowie zaczęły jej się zwijać. Był wtedy brak doktorów. W pobliżu mieszkała kobieta trudniąca się leczeniem chorych, a którą miano za opętaną przez diabła. Zgadzał on przez nią wszystkie choroby i zwykle przypisywał winę „ciotom“ — tak lud nazywał czarownice.

Do tej kobiety zewsząd się zbliżano, po nią poszła także dziedziczka z Doruchowa. A trzeba wiedzieć, że Doruchów miano wtedy za głó-

wniejszą czarownicę — pierwsza została pojmana.

Drużba była wdową, żyjącą z wyrobku, mającą córkę lat 12; córce zrobił się wrzód w uchu, a ponieważ go zaniedbano — dostała fluksu i na to umierać musiała; lud zabobonny posądził matkę o czarostwo; że nie mogąc kogo innego oczarować, własnej córce „zadła“...“

Trzecia, młoda dziewczka, nie wiedząc z jakiego powodu udawała czarownicę. Rwała ona liście dębowe, suszyła na słońcu. Pasając w lecie bydło nosiła takowe liście przy sobie, a gdy wiatr powstał, aby pokazać wiejskim dzieciom, że umie myszy robić — dobywszy z kieszeni listek i chuchnąwszy w dłoń — puszczała go z wiatrem. Takim sposobem oszukiwała łatwowiernych.

Tak więc i ta dziewczyna diała tak niewinnej igraszki za czarownicę posądzona została i sama stała się przyczyną swej śmierci.

Wszystkim im zarzucono, że pania „postrzelili“, a mianowicie: Dobrą posądzano, jakoby ona zamiasz gruszek myszy pani sprzedawała i tak zadła jej kołtuna. Zarzucono im ponadto, że schadz-

DAWNA

Lódź na własną prasę zdobywa się późno. Za to korespondenci pism tak poczytnych, jak *Kurier Warszawski*, *Wiek*, *Słowo*, *Kurier Szwajcarski*, *Gazeta Polska*, *Gazeta Warszawska*, nawet *Kraj* (petersburski) przyjeżdżają do naszego miasta i opisują dziwy „polskiego Manchesteru”.

Dziwy były niegorsze, bo z tej inspiracji powstała „Ziemia obiecana” Wł. Reymonta i poezje „Z mroku i dymu” A. Głiszczynskiego.

Ale to później, Tymczasem w grudniu 1863 roku ukazuje się pierwszy dziennik łódzki, dwujęzyczny i o takimże tytule: *Lodzer Anzeiger — Łódzkie Ogłoszenia*. Treść nader skromna; właśnie ogłoszenia, notowania giełdy, kronika towarzyska, nekrologi itp. Ślad wyprowadza swój rodowód niemiecki dziennik *Lodzer Zeitung*.

Przy nim pojawia się polska tygodniowa *Gazeta Łódzka* (1881).

W latach 1884—1892 ukazuje się *Dziennik Łódzki*. Po „buncie łódzkim” zostaje on zawieszony.

Pod koniec ub. wieku pojawiają się pierwsze pisma literackie. *Ognisko Domowe* — tygodnik dla rodzin polskich, pod redakcją znanego wówczas pisarza Zygmunta Bartkiewicza oraz tygodnik ilustrowany *Świat*. Oba upadły z braku czytelników, choć *Ognisko* zdążyło wyjść kilkanaście razy.

1 grudnia 1897 roku powstaje dziennik *Rorwój* pod redakcją Wiktora Czajewskiego, a w roku 1900 St. Książek zakłada *Kurier Łódzki*.

Jest to czas „siłaczek” i „Judymów”, pionierskich wysiłków szlachetnych jednostek.

Czajewski był z urodzenia ostrołęczaninem. Wykształcił się w Krakowie i działał w Warszawie, znany jako redaktor i autor szeregu prac (Warszawa, *Czasopiśmiennictwo*, *Hist. literatury czeskiej*, *Wilanów*). Później przeniósł się do Łodzi celem stworzenia tu polskiego pisma.

Rozwój wydał dwadzieścia kilka dzieł m. in. „Dzieje Polski” Feliksa Koniecznego, antologię poezji polskiej — „Kocham i cierpię” (I), pierwsze w Polsce pełne wydanie „Pana Tadeusza” z ilustracjami St. Masłowskiego, historię Grunwaldu w 500-lecie zwycięstwa nad Krzyżakami.

Czajewski organizował uroczystości obchody i nabożeństwa (I) w rocznicę zgonów sławnych pisarzy oraz pierwsze w Łodzi konkursy literackie.

Wokół *Rozwoju* gromadziły się ówczesni pisarze. Sekretarzem redakcji był Stanisław Lapiński, nowelista i dramaturg. Spód jego pióra wyszedł w r. 1898 obrazek dramatyczny pt. „Tkacz”. Bardzo łódzki!

(Z początkiem 1915 roku *Rozwój* przestaje wychodzić na skutek presji władz niemieckich).

W październiku 1914 r. wpadają do Łodzi legionści pisarze: G. Daniłowski, J. Grabiec, Z. Kisielewski, A. Strug, J. Żuławski. Przyjęcie, mówiące najogólniej nie było nadzwyczajne.

Dla rozruszania niechętnego społeczeństwa literaci-legionści przystępują do wydawania pisma *Do broni*. Ale, „niestety”, z „odmarszem” redaktorów pismo

skończyło swój żywot na drugim numerze.

W r. 1916 staraniem literatów i dziennikarzy pojawia się jednodniówka pt. *Na działkę polską*. Szkolnictwo jest w potrzebie i m. in. tą drogą szuka pieniędzy. Warto przypomnieć, że tu publikują się m. in. J. N. Miller (wiersze), późniejszy futurysta Stefan Gaicki, Zofia Wojnarowska, Stanisław Bał (Chruszczewski) i słynny ongiś adwokat, obrońca politycznych Piotr Kon.

Podobnie dobroczynny charakter ma jednodniów-

PRASA

ka *Ratujcie dzieci* z wierszami m. in. red. Cz. Gankowskiego i A. Kwaśniańskiego.

Nie na tym koniec. W 1917 r. pojawiła się *Jednodniówka weteranów* na rzecz powstańców 1863 roku, m. in. ze wspomnieniami.

W pierwszym półroczu 1917 r. przy *Gazecie Łódzkiej* ukazują się osobotni dodatki pn. *Antologia młodych*. Wyszło tego aż czterdzieści numerów, a na szpaltach błysnęły wiersze Juliana Tuwima i Mieczysława Brauna. Manifestacja talentów już rdzennie łódzkich.

Niepodległość! W Warszawie wychodzi *Skamander*. Łódź nie chce być w tyle i zakłada pismo o tyleż oryginalnym, co długim tytule:

„Tańczący ogień dla sztuki i wszystkiego, co z nią związane. Pismo pod redakcją H. Płochockiego miało ukazywać się 10 razy do roku niestety, poprzestało na pierwszym numerze, „Nie znalazło w Łodzi czytelników” — informuje lakonicznie kronikarz. A szkoda. Pierwszy numer przyniósł m. in. utwory M. Brauna, A. Skonimskiego, J. Tuwima, K. Wjerzyńskiego i pierwodruk „Mochnackiego” J. Lechonia. „Tańczący ogień” błysnął i zgasł.

Nie zraził się tym Paweł Hulka — Laskowski i przystąpił do wydawania w latach 1921—1924 *Nowych Drog*. Miał to być tygodnik, poświęcony „sprawom odrodzenia moralno-religijnego i oświaty”, a następnie „Młodości społecznej” (I). Drukowali się tu J. Elsmund, J. Kadon — Bandrowski, J. Tuwim, J. Wittlin. i inni. „Młodości społecznej” redakcji nie brakowało, ale

INICJATYWA BEZ ETATU

(Dokończenie ze str. 2)

krutem”, „Mundur awatem”, „W polu znajdziesz mój grób”, czy sławny „Żyd w becze” — muszą niepokoić. Nie mamy współczesnych sztuk dla wsi, dominuje szmira, tandeta, cieniwa starzyzna, wydobita ze strychu. Wkracza także „czyste religijny” repertuar, który poucza, jak to chrześcijaństwo wytrzymało nacisk administracji rzymskiego imperium.

Na włość nie przenika współczesność poprzez popularny teatr amatorski. Nie przenika i przez literaturę, co jest ziemię mniejszym o-

tyłem, że czytelnictwo klasyców, jedyne masowe czytelnictwo na wsi, szkody nie przynosi. Przeciwnie. Ale i nie unowocześnia, nie wiąże wsi z teraźniejszością. Współczesność objawia się najczęściej w przemówieniu „czynnika” na akademii, co jak wiadomo, rzadko kiedy pasjonuje. Widmo partykularza, zapłocia, straszy, kopie powoli przepaść pomiędzy wsią a współczesnym życiem. I tego rowu nie wyrówna wrzuszające, przuroczne odgrzebywanie tradycyjnych, obrzędowych wartości kulturalnych,

nie było pieniędzy i czytelników. Pismo upadło.

Dalej już same efemerydy i nie zawsze poważne.

Tygodnik Łódzki (1922—23), *Moc*, czasopismo poświęcone nauce, sztuce, literaturze i polityce (1926 — wyszły 2 numery), *Ilustrowany Kalejdoskop* (w treści teatr, literatura, sztuka, film, moda, życie towarzyskie, aktualności — w r. 1926 wyszło kilkanaście numerów), *Giewont* (1928)...

Giewont stanowił czasopismo ilustrowane o dzwicznym podtytule: „poświęcone sztuce, literaturze, sprawom rozwoju uzdrowisk, monografiom miast polskich”. Wygląd luksusowy: kredowy papier, mnóstwo ilustracji. Trzeci numer „zbrała” Łódź i Zakopane, w części łódzkiej — wiele informacyjnego materiału o bardzo różnym poziomie.

podległościowej). Wyszły tylko 4 numery.

Na widownię wkraczają plastycy. *Forma* pod red. K. Hillera i Wł. Strzezińskiego (rok 1934) oraz *Polska Druga* pod red. W. Dobrowolskiego (1933—35). Wszczynają zażarte boje o rozumienie plastyki i jej funkcji społecznej. W *Formie* odnajdujemy wiele cennych pozycji. *Polską Drugą* zalewa mętna fala narodowego gadulstwa. *Niestety*, *Forma* po dwóch numerach przestała istnieć. Najważniejszy pożytek: dała wzór graficzny nowoczesnego pisma („pod Strzezińskiego”).

W drugiej połowie lat trzydziestych literaci wznowiają wysiłki zdobywców Łodzi.

W r. 1936 Kazimierz Sowiński (poeta z *Meteora*) redaguje czasopismo literacko-artystyczne *Budowa*. Są tu pozycje wartościowe: artykuły — Zmierzch młotów (M. Piechal), *Surogaty sztuki* (Wł. Strzeziński), *Pieśni łódzkich barykad* (E. Ajnenkiel), *Życie prywatne i kulturalne robotnika łódzkiego* (J. Augustyniak). *Oblicze eufonologii* (T. Sarnecki); proza — Cz. Garda, B. Pawłowicz, R. Len; wiersze — M. Jastrun, J. Brzękowski, J. Czechowicz, J. Kurek, K. Sowiński, G. Timofiejew.

Pod naciskiem starostwa grodzkiego *Budowa* przestaje wychodzić: nadto zerkala ku lewicy.

W latach następnych mamy aż trzy czasopisma: *Kultura Łodzi* (red. L. Stolarzewicz), *Odnowa* (red. M. Piechal) i *Wymiar* (red. T. Sarnecki i G. Timofiejew).

Dwa ostatnie czasopisma krążą już po orbicie literatury ogólnopolskiej (nazwiska) a zarazem sporo miejsca udzielają sprawom regionalnym.

Kultura Łodzi upadła na 4 numerze, *Odnowę* i *Wymiar* likwiduje wojna.

Oczywiście, literatura nieco „miejscu” udzielała prasa codzienna; *Łódzianin* (wy-

ŁÓDZKA

KPP i *Prądy* zostały zamknięte.

W r. 1933 ukazuje się w Łodzi nielegalna komunistyczna *Kronika* pod redakcją Z. Kliszki. Warto jej dzieje na terenie naszego miasta przypomnieć, ale jest to zadanie, wymagające specjalnego artykułu.

Lata 1932—33 notują próbę stworzenia przez dziennikarzy ilustrowanego dwutygodnika *aktualności* — *Tempo*. Pod red. Stefana Gelbarta ukazało się zaledwie kilka numerów.

W r. 1933 St. Martynowski wydaje miesięcznik społeczno-historyczny *Z dawnych dni* (poświęcony walce nie-

chodził na początku), *Kurier Łódzki*, *Republika*, *Głos Polski* (później *Głos Poranny*), tygodnik *Prawda* i dziennik *Hasło* (te dwa pisma były efemeryczne) i nawet wieczorówki *Ekspres* i *Echo*...

Myślę, że ten obraz ciągłe urywających się i ciągle na nowo podejmowanych wysiłków stworzenia łódzkiej prasy literackiej ma wymowę, mimo wszystko optymistyczną. Mimo że nakłady owych *Tańczących ogni*, *Nowych Drog*, *Meteorów*, itd. nie przekraczały 400—800 egzemplarzy.

To redaktorom niedawnej *Kroniki* na pociechę.



PIOTR BOROWY

ODWET

„Więc musieliśmy wyjść.
Boga nie było, kto miał mieć
— Chłopców z Pragi, z Woli, którzy,
Gdy im kładli pętle na szyje,
Wolali jeszcze z szubienic:
Niech żyje!

„Była to pruska niedziela.
Grały orkiestry w Alejach,
Zandarmi powracali ze straceń,
Sły panie z pieskami
I my z granatami
— Na spacer.

W cieniu lip i automatów
Pili piwo żołnierze,
Dzwonili kufkami,
Seiskali ładne dziewczyny,
A my coraz mocniej
— Dynamit.

Długo tłumiliśmy gniew,
Wybuchem wzbierała nienawiść,
I nagle — zaryczały wille,
Chlusnęła w niebo czarna krew.
Rozbiliśmy granatami
Idylę.

Sierpień 1944

KRZYSZTOF BACZYŃSKI

O miasto, miasto — Jeruzalem żalu,
gdzie wsparte o kolumny — każde drzewo krzyżem
nad cieniem mijającym jak cieniem koralu,
który jak płomień niewidzialny liże
stopy zwycięzców i tych, którzy leżąc
pod płytą blasku, w cień blasku nie wierzą.

Miasto niewiary. Czym ty jesteś stojąc
we wszystkich ziemiach, w ognisku i w boju,
czymże ty jesteś i co niesiesz w sobie,
że jesteś na człowieku jak wieniec na grobie,
i rodzisz tylko bezgłowe kamienie
i sen, gdzie nie śniąc
nie odwalone jesteś gromów brzemień
i martwą pieśnią.

Sen, sen upiórów, gdzie na kwiatkach leżą
ludzie ciosem znużenia padli przed wieczera,
ludzie u stołów pańskich siadający, którzy
szable splatają w dole, a kwiaty na górze.
Nic nie widzący, w nikogo wpatrzeni,
wiele na krzywdę ludzką, mali na cierpienie.
Upadający — przez ciało chcą stanąć
i żagwią wzniesie pomniki, żagwią umaczana
w ciałach tych, co nie wierzą — nie wiedzą i proszą
i których tylko potem anioły podnoszą
jak liść jesienny w baśni i prostując bożą
ręką tak ukolyszą, aż w Bogu odtworzą.
A ci jak huragany wszczęte wianem płaszcza
są choć przez groźę silni, gdzie armaty paszcza,
gdzie dloni uderzenie, i tak są zwycięzcy
w chwili zbrodni — na wieczność odtworzeni w kłęsec.
O wiele, których siłę nazywają słabość,
bo śpi w nich jak pomruki lawiny i czeka
na czas wiary, na zamię, na grom i człowieka,
na burzę planety, na rzeczy nazwanie.

A że z nich tworzą trumny, co w ziemi zwycięża,
są zwani słabość, że nie ma oręża,
że nie ma na zwaliskach kwitnącego siola,
że nie rozdepczą małych, bo światło anioła
jest nie przeciw małości, ale obok — znaczący
wielkość — ciał przerastaniem, nie małych rozpacz.

1944 r.

odgłosy str. 7

ŁOWICKIE, SIERADZKIE i RAWSKIE — NA BANICJI

Wystawa sztuki ludowej z Łowickiego, Sieradzkiego i Rawskiego w Warszawie! Przynajmniej, że w sytuacji, gdy Łódź w zasadzie dusi się we własnym „zaczarowanym kręgu”, cierpiąc na swoisty kompleks niższości, było to wydarzenie nie lada.

Bądź co bądź, stolica, Rynek Starego Miasta, sale Muzeum Historycznego Warszawy w kamienicze Baryczków — oprawa więc dostojna.

Tak więc nie „oficjalna sztuka”, lecz ludowa, podziwiana w piosenkach „Mazowsza” i „Śląska”, a jednocześnie spychana na szary koniec w kulturalnych poczynaniach naszego przeznaczonego grodu — zdobyła sobie zainteresowanie stolicy...

Tak to już, niestety, jest, że tu w Łodzi nie interesujemy się prawie zupełnie swoim własnym regionem. Znajomość i zainteresowanie sztuką ludową ogranicza się bez mała do pasiaków łowickich i fotografowania hoźych Łowiczanek podczas /procesji Bożego Ciała. Nawet handlująca CPLIA woli sprowadzać ce-



tury łódzkiej Wojewódzkiej Rady Narodowej przy udziale Muzeum Etnograficznego w Łodzi — zaproszono kilku twórców ludowych. Byli oni dostojnie obłożeni przez prasę i ciekawych, Ubrani w regionalne stroje stali się żywymi eksponatami wystawy. Z dumą obnosili swoje stroje i ozdoby, których nie poskąpiła im... zagranica.

Były i inne niespodzianki — utalentowany rzeźbiarz ludowy, 75-letni, czerstwy staruszek — Józef Kamiński ze wsi Oraczew w Łęczyckim, który swe artystyczne powołanie odkrył dopiero... przed rokiem. Jak sam mówi, zaczął strugać ni stąd ni zowąd. Snycerką zainteresowano się i... „Masz, babo, kaftan”... mówi żartobliwie, ale widać, że dumny z siebie, a udział w wystawie przyniósł mu prawdziwe zadowolenie. Przybył na nią w asyście wnuków, uśmiechnięty, z sumiastym wąsem, chętnie wdający się w rozmowę. Opodal wiszą dwa kapitalne światki, przez niego strugane. Pod ścianą rozparły się pekaty gamki z Bolimowa, na ścianach wycinanki. Dalej strój ludowy, tkaniny, fotografie budownictwa wiejskiego... Ludzie przechadzają się wzdłuż ścian, przysłuchują, kiwiają z uznaniem głowami. Wysta-

wa jest ciekawa, urządzona przejrzyście i atrakcyjnie. Organizatorzy dużo sobie po niej obiecują. Z Warszawy pojedzie do Płocka, a może i dalej. Tymczasem w Łodzi pokazana zostanie wystawa sztuki ludowej województwa warszawskiego.

No, cóż, jeśli nie znamy twórczości własnego regionu, poznajmy chociaż twórczość innych.



ramkę do Łodzi z Krakowa, Rzy i licho wie skąd jeszcze, ale żeby z Ozorkowa, Bolimowa, Sieradzkiego? — To przecież za bardzo swojskie.

Takie refleksje nasuwały się w sobotę, 2 sierpnia, gdy licznie zgromadzona publiczność wyrażała uznanie organizatorom wystawy, a w księdze pamiątkowej pojawiły się dedykacje z życzeniami rychłego pokazania ekspozycji za granicą.

Na wystawę (na otwarcie przybył wiceprzewodniczący Prezydium — p. Broniarczyk — bravo!) zorganizowaną przez Wydział Kul-



str. 8



ROZMAITOŚCI staropolskie

albo miłość małżeńska

Przysięgając o małżeństwie wypada zacząć od żony. Ciekawe jest pochodzenie tego słowa. Gloger, autor znanej Encyklopedii, twierdzi, że pochodzi ono od staropolskiego wyrazu „żonać”, co znaczyło: gnać, zająć, pędzić, porwać. Wyrażano się więc, na przykład, „pasterze żoną trzody z pastwisk”, albo „śmierć tak dobrego, jak złego jedną drogą żenie” itp. Stąd miał powstać u dawnych Lechitów wyraz żona „oznaczający niewiastę porwaną, pochwyconą, przynętą w małżeństwo, jak to było w zwyczaju u Słowian”.

Znacznie później, szacunek jaki Polacy okazywali swym kobietom znalazł wyraz w mowie potocznej. „Szukać żony” oznaczało to samo, co — „szukać dożgonnego przyjaciela”. Rymowana alegoria głosiła:

Mąż — żony głowa,
Swego męża
Głowy korona.

Rozumiało się więc jednak, że mężczyzna jest głową związku małżeńskiego, głową rodziny, kobieta zobowiązana jest względem niego do ślepego posłuszeństwa.

W praktyce wyglądało to nieraz inaczej! Już w XVII wieku znane były „his mulier”, czyli Herod — baby. Zbigniew Kuchowicz w książce „Z dziejów obyczajów polskich” stwierdza, że staropolscy moralisci i kaznodzieje głosili teorię o trzymania żony „na munsztuku” i udzielali młodym żonkosiom różnych rad w tym względzie: „Po weselu pamiętaj, żeś głową małżonki twojej... Ty nią rządzisz, ona cię kochać powinna... Patrzajże, małżonku, żebyś powołania swego nie zapomniał, nie czynił się nogą, sługą, kiedyś jest głową. Wiesz, jak niczego niewiasta bardziej nie pragnie, tylko aby rzadziła... Wiesz, jak dowodu inszego rozumnego afektu nie chce od ciebie, tylko żebyś to albo owo uczynił, to jest, abys służył, ona rozkazywała. Zginąłbyś jeśliś tak słaby, że głowa służyć sercu poczniesz, już będziesz służył, póki żyjesz, darmo się zwać będziesz panem, gdy ona prawdziwą panią, a jeszcze twoją będzie. Słuchajże tedy Boga, żebyś nie słuchał niewiasty”...

Gorzej więc było, gdy się niewiasta nie dała „wziąć na munsztuk” i gdy poszu-



kujący dożgonnej towarzyski życia trafiał na sekutnicę.

„Dostawszy sekutnicę — pisze imię Pasek w swych „Pamiętnikach” — nieraz mąż ślubował księdzem zostać, jeśli go z nią Pan Bóg rozłączył”.

Znane były różne staropolskie sposoby na złą żonę; czy skuteczne, nie wiem, jednak z obowiązku felietonisty muszę je zanotować: „Takową (złą) żonę do koszuł zewiółkisz, jako kozę zwiążąc i owsem ją osypać, potem do niej głodnych z pół kopy napuścić gęsi, które by ją tak wyszczypały, żeby wiedziała na drugi raz, jako to męża szanować i słuchać”. Albo też: „Miodem żonę nasmarować i u pszczołnika uwiązać, żeby osłodziła i zdoberzała w swej złości”.

Na wszelki wypadek, z ostrożności przypominam, że sposoby te zalecano w XVII stuleciu, i co mogło być wskazane 300 lat temu, tego się nie zaleca dzisiaj!

Jak już pisałem w poprzednich felietonach, związek małżeński w zasadzie oparty był w sferze szlacheckiej głównie na rachunkach majątkowych i rodowych. Rodzicom panny i pana młodego szło o ugruntowanie znaczenia swej rodziny, podparcie koligacjami czyli korzystnym powinowactwem; dlatego powodowali się oni przy układaniu projektów matrymonialnych względami na wszystko, ale najmniej lub zgola nie na to, czy młodzi przypadli sobie do gustu.

Poważną przeszkodą do zawarcia związku była nierówność stanu między kandydatami do stanu małżeńskiego. Szczególnie wśród możniejszej szlachty megalians wywoływał opory, a niekiedy nawet czynne sprzeciwy z wniosieniem protestacji do ksiąg grodzkich.

W zasadzie szlachcianka wychodząca za mąż za mieszczanina lub chłopca traciła prawo do posagu, gdyż nikt poza szlachtą i klerem nie miał prawa nabywania dóbr ziemskich, ani przez kupno, ani w drodze darowizny.

Przestrzegano również zakazu łączenia się wzięciem małżeńskim wdowców z siostrami zmarłych żon. Nie mała krwi z tego powodu napuła szlachcie dynastia Wawów. Król Zygmunt Trze-

ci po śmierci pierwszej żony Anny Austriackiej ożenił się z jej siostrą Konstancją Austriacką. Wywołało to istną lawinę wierszy, paszkwili itp. Na domiar synowe królowskie, król Władysław Czwarty i Jan Kazimierz popełnili podobny błąd, a mianowicie Jan Kazimierz ożenił się z wdową po zmarłym bracie przyrodnim Władysławie Czwartym — Ludwiką Marią Gonzagą.

Z powodzi epigramatów i kąśliwych wierszydeł satyrycznych na ten temat na uwagę zasługują wierszyk najwybitniejszego poety tamtych czasów Wacława Potockiego:

Ojciec jedną po drugiej
dwie miał siostrze, a ci
Jedną Ludwikę żoną dwu
rodzonych braci.
Nie bierz siostry po siostrze,
nie bierz żony bratni.
I króle niech słuchają,
nie tylko prywatni.

W razie niezgodności charakterów, a więc jeżeli żona była, powiedzmy za Paskiem, sekutnicą, a mąż nudziarzem, to z uwagi na większą „przestrzeń życiową”, jaką rozporządzał szlachcic ziemianin, sprawa nie przedstawiała dla mężczyzny większych trudności. Nie znajdując zrozumienia u półowicy mąż poświęcał więcej czasu zajęciom poza domem, gospodarstwu, myślowi, polityce, oraz szukał rozrywek w towarzyskim sąsiedostwie. Żona dla zabicia czasu poświęcała więcej uwagi dzieciom, spiżarni, kuchni i obowiązkowi religijnemu.

Przejmując skargę na złą żonę zanotował siedemnastowieczny pisarz Boczyłowicz w „Wymownym polityku”.

W liście do przyjaciela mąż prosi o radę: „Co tedy z taką robić? Biwszy ją, to zła, nie biwszy, jeszcze gorzej... Przywiązawszy ją u sosny w lesie, i tam pa zajązony jad i hucznym baki by i komary nie chciały nacierać, woląc swoje zdrowie niż z niej pożywienie... To ją w piec rozpalony wrzucić? I ten by rozwalła swoim piekielnym ogniem. Konkluduje: żywcem w działo wbić i wystrzelić na wiatr”.

Co do wierności małżeńskiej, to mężczyźni w tamtych czasach mieli więcej grzechów na sumieniu niż niewiasty. Zdrada ze strony żony była raczej wyjątkiem. Ale o tym już w następnym felietonie.



Lipiec, miesiąc skromnego, letniego programu, zaznaczył się kilkoma ciekawymi audycjami, których nie można tu pominąć. Przede wszystkim „MCHAT”. Jeden z najsympliczniejszych teatrów świata, w drodze powrotnej z Londynu do Moskwy zatrzymał się kilka dni w Warszawie. Z trzech spektakli, jakie zaprezentował stolicy: „Niespokojna starość” Rachmanowa oraz Czechowa „Trzy siostry” i „Wiśniowy sad”, ten ostatni był transmitowany przez telewizję. I znowu, dzięki znakomitemu wy-

stawieniu, kilkadziesiąt tysięcy ludzi w różnych miastach Polski nie ruszając się ze swych mieszkań miało okazję obcować przez kilka godzin z aktorami najwyższej klasy, spotkało się z teatrem, który — powtórzmy za „Przekrojem” — „dotychczas był dla nas sceną legendarną, o którym czytaliśmy dziesiątki artykułów i wiedzieliśmy, że oddziaływał na całe pokolenie naszych wybitnych artystów (m. in. Osterwe, Jaracza i Zelwerowicza)”. Spośród innych lipcowych audycji zasługują na odnotowanie dwie: „Kolonja Karno”

Franza Kafki, reż. K. Oracz oraz „Wyspa siedmiu nieśczęść” Tadeusza Kwiatkowskiego, reż. Z. Kuźmiński. Obydwa spektakle całkowicie różne w treści, zupełnie odmiennie inscenizowane, były jak gdyby pierwszym egzaminem nowego warsztatu pracy, jaki w postaci nowego studia otrzymali realizatorzy łódzcy. Według zgodnej opinii egżamin ten wypadł pomyślnie.

I wreszcie coś ze sportu. Pamiętne spotkanie tenisowe Liciśa z Pietrangelim, rozegrane w ramach spotkania Polska — Włochy i zakończone największym sukcesem małego Ślązaka, który w trzech setach pokonał pierwszą raketę Włoch, było w całości transmitowane przez telewizję. Również finał europejski Indywidualnych Mistrzostw Świata na żużlu obejrzeli posiadacze małych ekranów. Na pewno za te dwie transmisje tysiące kibiców sportowych jest wdzięcznych telewizji.

Z. K.

ADAP...

Tak z Mars...
Jasne...
Zaloga...
Lazę...
Cóż mo...
kać, w...
gazy i...
cać, wo...
będę cz...
dość. D...
spokojn...
Dzisiaj...
Tylko...
Była...
Materia...
tów. S...
Przema...
Przymi...
— Co...
— Z...
wi, Mo...
z nich...
pomińk...
— D...
— B...
ich zło...

ZMIAN...
TWA, ...
szych ar...
rzystw...
wało się...
na swyci...
również...
rowe...
ten zare...
TWA w...
białych...
ką, przy...
telarskie...
nia Mar...
wego Jo...

DLA KO...
SAMOTN...
W skle...
sprzedaw...
czasu (ce...
szonkow...
czone dla...
szą same...
wieczore...
na, mies...
le w dan...
szana je...
na odleg...
starczy...
najbliższ...

BEZPIEC...
Burman...
spraw...
rzućło r...
„Zjednoc...
rodowego...
z 369 de...
lamentu...
sta ochr...
wany of...
zewolone...
jednego...
go kara...



aspazja

ILUST. JABIS-GRATKOWSKI

- 61 -



Tak więc były to pierwsze obszerniejsze wiadomości z Marsa, ale bardzo skąpe, niepełne, nie wystarczające. Jasne było jedno — rozgrywa się tam jakaś tragedia. Żaloga „Glorii” prawdopodobnie zginęła.

Łażę więc znów po schodach i piętrach. Rozmyślam. Cóż mogę wymyślić? Zostać, czekać, nie czekać, uciekać, walić wszystkimi bombami i protonami, zrzucić gazy i promieniowanie, nie nie uczynić, nie nie zrzucić, wcale nie walczyć, odjechać? Oczywiście te 10 dni będę czekał. Jak trzeba, będę czekał i 10 lat. Czasu jest dość. Dopóki tak wiszę nad głową Aspazji, nie ma ona spokoju mimo całej swojej potęgi.

Dzisiaj pokazała mi się na ekranie. Co za zaszczyt. Tylko mnie! Tylko mnie jednemu.

Była w ciężkim, złotym brokacie, jak żmija w łusce. Materiał ten ściśle przylegał do jej klasycznych kształtów. Spacerowała przede mną, uśmiechała się, wabiła. Przemawiała głosem gruchającego gołębia. Śmiała się. Przymilała. Śpiewała stare greckie pieśni bachiczne.

— Co się dzieje z moimi przyjaciółmi? — zapytałem.

— Żyją w specjalnym mieście, pracują, są szczęśliwi. Moje pszczoły oddają im hold jak półbogom. Każdy z nich jest czczony jak bohater. Każdy otrzymuje pomnik z czystego złota.

— Dobrze, w takim razie pokaż mi ich na ekranie.

— Bardzo chętnie. Pokażę ci na razie nie ich, tylko ich złote odbicia.

- 62 -



Coś mignęło. Zmienił się obraz. Kilka pszczoł odsuwało powoli jakąś ciemnoczerwoną kotarę. Jeden przy drugim stali wszyscy moi towarzysze. Cała żaloga „Glorii”. Tylko admirała nie mogłem się doliczyć, doktora Freyda i profesora Towsenda. Były to posągi ze złota! Nie pomniki tylko raczej odbitki, zachowane w nich zostało absolutne podobieństwo. Powiedziałbym, że są to jakieś kopie, duplikaty. Wszyscy nadzy i piękni, mieli spokój na twarzach i smutek. Głowy ich były przybrane w wieńce ze złotych liści laurowych. Stali na niedużych okrągłych postumentach, również ze złota. Na każdym postumencie była tablica z jakimś ciemnym metalem i na nim nakładane złote greckie litery. Oznaczały one nazwisko, zawód i numer ekspedycji. Tak więc sły napisy: „Olaf Cronenstraem, Astronom. XIX ekspedycja”, „Bronisław Wanke. Biolog. XIX ekspedycja”, „Andranat Sambaba. Pilot. XIX ekspedycja”, „Jack Jejack. Kosmogeograf i geolog. XIX ekspedycja” i tak dalej.

Byłem wstrząśnięty tym widokiem. Było w nim coś groźnego i niesamowitego.

— To są tylko posągi — powiedziałem — a teraz pokaż mi oryginały.

— Nie jest to w tej chwili możliwe, — odrzekła. — Znajdują się oni w mieście wieczności.

— Cóż to jest za miasto?

— W środku Marsa — odpowiedziała. — Daleko

- 63 -



w głębi jest małe miasto. Znajduje się ono pod ognistą otchłanią. Tam są resztki ciepła marsyjskiego. Trzeba tam w pewnym miejscu przejść przez płomienie, trzeba zostać osmalonym przez ten ogień. Kto przez to przejdzie, staje się nieśmiertelny. Dlatego my wszyscy Marsjanie jesteśmy nieśmiertelni. Wszyscy przechodzimy przez ten ogień. Oczywiście chcemy, aby ludzie, którzy zamierzają u nas pozostać na zawsze, również byli nieśmiertelni. Miasto to nazywa się Immortella.

— Kiedyż oni wrócą z tego miasta?

— Za kilka dni.

— Za pięć dni pokażesz mi ich wszystkich — mówiłem — całą żalogę. Za 10 dni mają się wszyscy znaleźć na pokładzie „Glorii”. W przeciwnym razie zombarduję twoje państwo bombami, o jakich nie masz pojęcia!..

Zaśmiała się kusząco i zaczęła się przymilać.

— Mówię ci — na pół szeptem, na pół mówiła i zdawało się, że z jej słów buchają płomienie — mówię ci... kto zazna miłości królowej Aspazji, ten żyje wiecznie w wiecznym szczęściu. Wierz mi, że w moim państwie nie ma śmierci, nie ma chorób, nie ma starości, nie ma bólu — tu jest wieczna mądrość, wieczny spokój, wieczne szczęście.

Błysnęła złotozielonymi, podłużnymi oczami i znikła.

(D. c. n.)

ZMIANY

TWA, jedno z największych amerykańskich towarzystw lotniczych, zdecydowało się ostatnio na to, by na swych liniach zatrudniać również stewardessy kolorowe. Dotychczas zawód ten zarezerwowany był w TWA wyłącznie dla kobiet białych. Pierwszą Murzynką, przyjętą do szkoły hotelarskiej TWA, jest 21-letnia Margaret Grant z Nowego Jorku.

DLA KOBIET SAMOTNYCH

W sklepach nowojorskich sprzedawane są od pewnego czasu (cena: 1 dolar) kleśzankowe syreny, przeznaczone dla kobiet, które muszą same powracać późnym wieczorem do domu. Syrena, mieszcząca się doskonale w damskiej torebce, słyższana jest po uruchomieniu na odległość 400 m. Wystarczy to, by zaalarmować najbliższy wóz policyjny.

BEZPIECZEŃSTWO

Burmańskie ministerstwo spraw wewnętrznych odrzuciło niedawno sugestię „Zjednoczonego Frontu Narodowego”, ażeby każdemu z 369 deputowanych do parlamentu przydzielili osobistą ochronę. Każdy deputowany otrzymał natomiast zezwolenie na posiadanie jednego rewolweru i jednego karabinu maszynowego.

GOLONO STRYZON

DEZ KOLEJKI

Pewne monachijskie przedsiębiorstwo pogrzebowe informuje stale w reklamie kinowej (na rysunku przedstawiona jest trumna), iż Klienci przedsiębiorstwa „a-latwiani są „bez kolejk”.

DECYZJA

Komisja skrutacyjna okręgowej organizacji SPD w Kulmbach — Stadtsteinnach uznała przy wyborach kandydatów na deputowanych do Landstagu i Bezirkstagu za ważną kartkę, na której napisane było wielkimi literami: „Hau, hau!”, ponieważ, zgodnie z przepisami, wola wyborcy była „łatwa do poznania”. Głos zaliczono kandydatowi nazwiskiem Max Hundt (Hund — po niemiecku „pies”).

PRZYKŁAD

Dwa auta policyjne w Chesterfield (Anglia) demonstrowały na oczach 8 tysięcy widzów technikę prawidłowej i bezpiecznej jazdy. Najciekawszym momentem pokazu było zderzenie się obu aut.

SZOSY DLA KOBIET

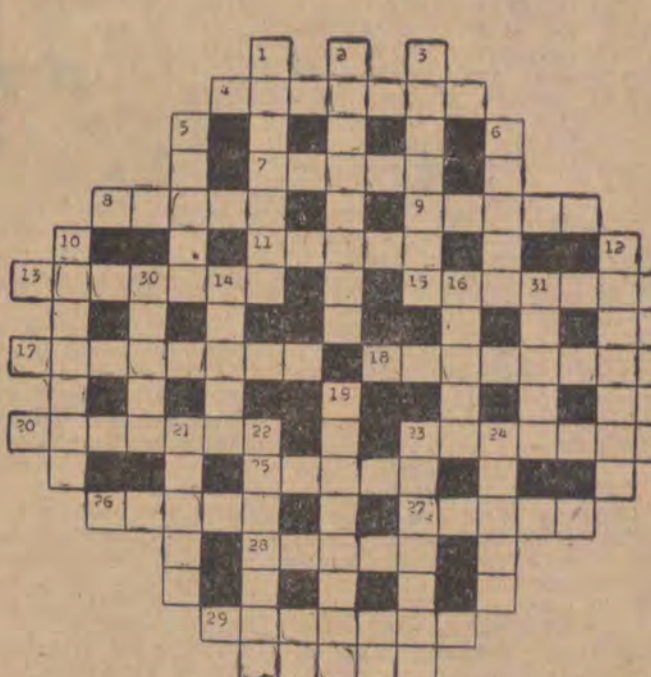
Jak orzekł znany ekspert amerykański od budowy szos, Stelling, w przyszłości autostrady będą musiały być szersze, gdyż za kierownicą spotyka się coraz częściej kobiety — a te, w nie-

bezpiecznych sytuacjach szybko tracą głowę”.

SPOSÓB

54 studentki uniwersytetu Philadelphii (USA) zostały ukarane grzywną, ponieważ w czasie wieczorku tanecznego, na który przybyło zbyt mało mężczyzn, zaalarmowały straż ogniową, chcąc zdołać w ten sposób partnerów do tańca.

NASZA KRZYŻÓWKA



Znaczenie wyrazów

Polono — 4) Nieporządek, chaos, 7) Zarost, 8) Część walki bokserskiej, 9) Głista, 11) Roślina uprawna o dużym, twardym, jadalnym korzeniu, 13) Uspienie, znieczulenie lekarskie, 15) Piaska figura geometryczna, 17) Fryzjer, cyrulik, golibroda, 18) Część fortyfikacji średniowiecznych, najczęściej w formie okrągłej baszty ze strzelnicami, 20) Gad z rzędu jaszczurek, mylnie za jadowity uważany, 23) Wóz porzeczowy, 25) Mała Zenona, 26) Państwo lub potrawa, 27) Suche ciastko z orzechów albo migdałów i miodu, 28) Powierzchnia nasypu kolejowego, 29) Międzyplanetarny środek lokomocji.

uszczerbek, strata, 19) Kwiat leśny, 21) Powrót metalowy, 22) Przykrycie, ozdobna derka na konia, 23) Utwór muzyczny o nastroju uroczystym, 24) Wyspa na Morzu Bałtyckim, 30) Ptak, 31) Bogini łowów.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki z nr 17 wylosowali:

1. Krystyna Popielecka, Łódź, ul. Narutowicza 113a.
2. Roman Baranowski, Łódź, ul. Główna 62 m. 96.

Pionowo — 1) Imię żeńskie, 2) Przyrząd do mierzenia ciśnienia atmosferycznego, 3) Roślina biotna, ajer, kalmus, 5) Taniec, 6) Służy do wycierania tablicy, 10) Krzywy kindżał turecki, 13) Rucho i przenośna zasłona, 14) Roślina, 16) Jama, wyziobleni

GOLONO STRYZON

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie 1,- zł, kwartalnie 3,- zł
Redakcja nie zamawia kopii rękopisów nie zwraca
Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK
„Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7 — 6-578
z oznaczeniem na „Odgłosy”
Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Z. 2425. VIII. 58. M-1.

odgłosy str. 9

PO CO JECHAĆ NA RIVIERĘ

KORRESPONDENCJA

odgłosów

Z MAZUR

Tekst: BOGUMIŁ BRECHTA
Zdjęcia: IGOR SIKIRYCKI

Liść ten piszę z tęsknoty, nudy i potrzeby serca. Nie pisałbym go, gdyby Pan Redaktor wymyślił był co robić na Mazurach, kiedy pada deszcz.

Aby Pan mógł sobie to wszystko lepiej wyobrazić, wysyłam też zdjęcia. Jest ich bardzo dużo, ale za to są bardzo niedobre.

1) Tu mieszkamy. — Nie jest to sprawa bagatelna. Niniejszy szalony ma charakter ideowo-programowy.

Ludzie ciągną na Mazury, myją się i zęby w jeziorze, żyją po lasach i wodach, biegają zarośnięci i bosi, a to jako reakcja na współczesną cywilizację tramwajów i wa terkozetów. Żeby od niej gruntdownie wypocząć. Wszystko oczywiście. Natomiast rzeczą pobudzającą do myślenia (czego i Panu życzę, Redaktorze) jest fakt, iż ów brodaty, programowo antycywilizowany letnik-Mazurzanią natychmiast buduje tu nową cywilizację. Specyficzną mikrocywilizację campingową na szeregach wodno-lesny użytek, złożoną z popielinowych namiotów, różnych cudów aluminiowo-nylonowych, nadmuchiwanym materacy, grających „Szareteki”, motorów do łodzi itp. itd.

Jest to jakiś bezsens, tkwi tu sprzeczność, ujawnia się niewolniczy stosunek do epoki. Stąd ideowo-programowy charakter naszego trzcinowego szalasu, który jest nie tylko mieszkaniem, ale pomnikiem nieklamanej prymitywu. A pan wie, Redaktorze, jak to jest: my Polacy możemy się jeszcze jako tako obywać bez cywilizacji. Ale bez pomnika — to już nie da rady.

2) Redaktorze Drogi, żeby to tylko człowiek budował tu swoją cywilizację! Ledwie załaduje się na oś pływającego, natychmiast „wzrzuca” też mikrohierarchię społeczną na swój urlopowy użytek, mimo że ledwie dzień minął, jak od tej wielkiej i powszechnej hierarchii został wyzwolony. Jeden ludzik dowodzi tedy taką pływającą skorupą, drugi go zastępuje, a trzeci n.p. go słucha czyli stanowi tzw. załogę. Rzecz się dzieje bez żadnej uzasadnionej potrzeby, ale jest ulubioną zabawą żeglarzy. Nie trzeba tu co prawda chodzić na imieniny do ciotki ani pływać koniecznie z własną żoną (zupełnie nieprzyjęte) ale za to natychmiast krępi się czcziyna nowymi spreparowanymi specjalnie na urlopowo-wodną okazję konwenansami. Ze np. na „łajbie” nie wolno nóg moczyć, albo gwizdać.

U nas jednak panuje zupełna równość i brak konwenansów i powyższe zdjęcie ją symbolizuje.



3) Przyroda dostarcza tu pożywienia, rozrywki, widoków tudzież stawy intelektualnej. Pasionuje mnie mianowicie problem następujący: z czego żyją komary? Sam widziałem tu — nie uwierz Pan, Redaktorze — z milion komarów. Wnoszę z tego, iż jest tu ich co najmniej miliard. Turystów jest tu trzydzieści tysięcy. Jeśli przyjmiemy, że każdego w czasie pobytu sto razy ugryzł komar — mamy trzy miliony ukąszeń. Jeśli dalej przyjmiemy, że komarowi takiemu wystarczy jeden poczęstunek na całe życie, wiemy już z czego żyją trzy miliony komarów. Ale co z resztą?

Wydaje się, iż kwestia sprawiedliwego podziału dóbr wśród komarów jest sprawą pilniejszą niż wśród ludzi. Bo jeśli nawet nie wiemy, z czego wśród nas ludzi żyje ta jakaś reszta, to można się tego ostatecznie przynajmniej domyślić.

Mnie osobiście dwieście razy ugryzł komar. Ale czy to rozwiązuje sprawę w skali społecznej?

4) To ja, kiedy o tym wszystkim myślę.

5) To był domek. Takich domków było tu dużo. Dawnymi laty mieszkali w nich niemieccy turyści, rybacy, myśliwi.

Teraz będą nowe domki. Trzy i duże. Buduje je „Orbis” dla zagranicznych turystów. Z komfortem, knajpą i garażami. W Mikołajkach.

A potem „Orbis” wydrukuje barwne plakaty: „Po co masz jechać na Florydę? W Mikołajkach znajdziesz niemniejszy luksus za te same pieniądze!”

Bo orbisowym mózgom stale i konsekwentnie wydaje się, że e-

wentualny cudzoziemski turysta przyjeżdżający na Mazury koniecznie będzie tu szukał luksusowego hotelu z dansingiem, a nie zagubionej gdzieś leśnej chatki, czegoś do pływania, czegoś do łowienia i czegoś do strzelania. Ze zności go ku Mazurom wyłącznie przepych orbisowych dansingów.

Orbisowym mózgom wydaje się, że największą polską atrakcją jest Sopot i że cała Europa i okolice zleca się tutaj, jak tylko zrobi się nowe kwietniki, hotele, dansingi. Tak jakby nie stały puste różne



Ostendy, Baden-Baden czy Monte Carlo. Tak jakby kogos nęciła ich brzydka siostrzyca położona nad bałtycką zatoką.

Ja bym urządził to zupełnie inaczej. Wydrukował mianowicie prospekty reklamowe tej mniej więcej treści:

„Obywatelu USA! Przyjeżdżaj do Puszczy Białowieskiej! Przyjeżdżaj polować na żubry i białe niedźwiedzie! Nie będziesz miał gdzie spać! Nie będziesz miał co jeść! Pełna egzotyka”. Albo:

„Kobieto Amerykańska! Przyjeżdżaj na Mazury! Dostaniesz tu kajak, namiot i silnego, przystojnego studenta do towarzystwa. Będiesz tu przez dwa czarowne tygodnie umykać jeziorami przed pogonią czerwonych.

Wtedy będą dolarodajni turyści. Kapete?”

6) Każdy łysiejący intelektualista dopiero ubrany w ten to strój zaczyna pełnić szczęścia. Musi jeszcze oczywiście człapać w trampkach przez chaszczaje i pokazywać na lokciu: „taka łajba”, „taka babka” i „taka ryba”. Mówić o fogach, grotach, flautach i szkwałach. Wtedy przekroczy granicę

wolności i szczęśliwości tudzież przemieni swą osobowość.

Wczoraj z reprezentacyjnej knajpy Mikołajek wabiącej się „Syrena” (50 zł ćwiartka plus 15% działalności), wyproszono znanego łódzkiego mecenasa: eleganta, bon vivanta, gentlemiana. gdyż... za brudno był ubrany. W życiu nie widziałem szczęśliwszego człowieka jak ów mecenas w tym momencie.

7) A więc Drogi Redaktorze! Siedzi człowiek, patrzy na widoczki, moczy nogi w wodzie, odgania komary lub drapie zaistniałe bąble, trochę mu mokro, bo deszczyk kropi (zawsze!), trochę ma zgagi po świni z puszką, która weszła na rynek mając uczciwy staż w magazynach MON, skąd „wybyła”. Żeby się nam armia nie potruła — i dobrze mu.

Jeszcze jak mu dobrze, Drogi Redaktorze! Nie tylko bowiem się zdecydował i uprimitywizował, poobeował z naturą i w ogóle, ale nabral dystansu do spraw tego świata.

Kto chce poczuć jak to przyjemnie, niech przyjeżdża, o co ledwie śmiem prosić i Pana, Redaktorze.



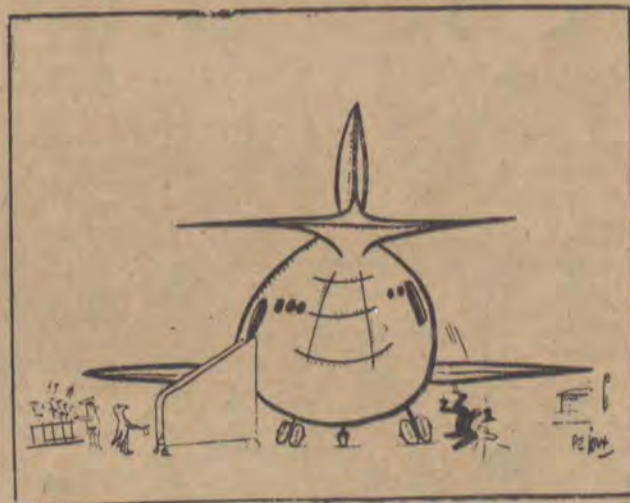
Najostrzejsze ołówki świata

JEAN DEJOUX albo

wypadki chodzą po ludziach



36-letni rysownik francuski, Jean Dejoux, wybie-
ra do swych żartów moty-
wy równie stare, jak stary
jest... humor obrazkowy.
Mamy więc na załączonych
rysunkach i pechowego ry-
baka, i spadającą na głowę
doniczkę, i nie zabezpieczony
otwór do kanału... A jed-
nak dowcipy te wychodzą
poza trącający myśzką sche-
mat, cieszą się zawsze za-
skakującą pointą. Pod ołów-
kiem Dejoux wytarte i
zużyte rekwiizyty grają
świeżym komizmem.
Ulubioną formą dowcipów
naszego Francuza jest
historyjka rysunkowa, a
więc gatunek dość trady-
cyjny, uprawiany od prze-
szło trzydziestu lat. Ale i
tu Dejoux nakłada sobie
dość surowe rygory. Unika
wszelkich tekstów, nawet
wkomponowanych w rysun-
ek. — Dalej ogranicza li-
czbę rysunków w historyj-
ce do rzeczywiście niezbęd-
nej ilości. Wreszcie posia-
da wycucie „dramaturgii”
zabawnego zdarzenia, cechę
rzadką u innych autorów!
Typowa dla Dejoux jest
budowa jego historyjek. Ol-
brzymia większość rysowni-
ków bierze za punkt wyj-
ścia zdarzenie „normalne”,
wcale nieśmieszne — i do-
piero rozwijając je w kilku
obrazkach doprowadza do
zabawnej pointy. Dejoux
realizuje żart inaczej, już
pierwszy rysunek jest sam
w sobie dowcipem i od bie-
dy mógłby wystarczyć. Dal-
sze rysunki pokazują jesz-
cze bardziej komiczne kon-
sekwencje sytuacji wyjścio-
wej.
Wszystkie żarty francu-
skiego rysownika dadzą się
podebrać pod wspólną
formułę: „Wypadki chodzą
po ludziach”. Nie ma w tej
twórczości cienia satyry,
ani szczególnych obsesji,
ani też — większego zain-
teresowania dla bohaterów
historyjek; wszystkie po-
siadają do siebie podob-
ne, rysowane szkicowo, bez
tych szczegółów, które cha-
rakteryzują psychikę lub
środowisko. Ważna dla na-
szego Francuza jest tylko
sytuacja — i tylko ona ma
wywołać komiczny efekt.
Często słyszy się opinie,
że owe żartobliwe historyj-
ki obrazkowe mają wiele
wspólnego z filmem. Opinię
tę zdaje się potwierdzać
fakt, że Dejoux współ-
pracuje jako gag-man z
niektórymi scenarzystami
komedi filmowych. Poza
tym — znany jest i cenio-
ny jako ilustrator wielu
książek dla dzieci. J. W.



Grzeczne psy—mle widziane

LUNAPARK

Nr 2 17. VIII. 58 Rok I

Za teksty pomieszczone w ni-
niejszej rubryce redakcja odpo-
wiada, ale nie płaci.

Z PRASY

LONDYN. Niemiecki filmowiec
Lander podczas dokonywania
zdjęć w parku narciowym im.
Królowej Elżbiety w Ugandzie zo-
stał nagle napadnięty przez roz-
gniewanego słonia.

Lander filmował z niewielkiej
odległości stado słoni przechodzące
przez rzekę. W pewnym momen-
cie olbrzymi słoń samiec kroczący
na czele stada spostrzegł Landera
i zaczął biec w jego kierunku.
Przerażony filmowiec schronił się
za krzakiem, jednakże to nie po-
mogło, gdyż rozszalały słoń go od-
nalazł, wziął na trąbę i trzykrot-
nie podrzucił w górę. Lander spadł
na ziemię między przednie nogi
słonia. Przez chwilę leżał na zie-
mi nieprzytomny. Gdy stado prze-
szło, dźwignął się.

Doznał on tylko ogólnych potłu-
czeń.
(„Express Ilustrowany” z dnia
30 lipca).

Wyjaśniamy: Rzeczy „z prasy”
znajdują u nas swoje miejsce na
bardzo prostej zasadzie. Oto na
łamach prasy codziennej pojawia-
ją się godne uwagi informacje —
nie zawsze należycie eksponowa-
ne. Naprawiamy ten błąd.

Z cyklu:

EROTYZM W PROZIE

— Jill podniosła rękę i potarła
ślady zębów w miejscu gdzie ją
ugryzł. Will chętnie by podniósł
się i położył na wznak, ale wciąż
nie chciała go puścić. Leżał więc
bez ruchu czując błogość w całym
ciele.

Wtem jak grzmot z jasnego nieba
coś trzasnęło go straszliwie w po-
śladki. Will ryknął i nieomal wy-
skoczyłszy w powietrze przewró-
cił się na wznak. Oczy wylazły
mu z orbit; nawet uderzenie pio-
runa nie przstraszyłoby go tak
okropnie.

Zanim zdolał cokolwiek wy-
krztusić, wrzok jego padł na sto-
jącą przy łóżku Rozamundę. Po-
trząsnęła groźnie szczotką do wło-
sów trzymaną w jednej ręce, dru-
gą zaś z całej mocy usiłowała od-
wrócić na brzuch Millę Jill. To
jej się w końcu udało, a wtedy
nim Jill zdążyła się wysilnąć,
trzasnęła ją szybko pięć czy sześć
razy pod rżąd.

Will pojął, że nie ma celu próbo-
wać się podnieść, leżał więc bez
ruchu, wpatrzony w szczotkę, któ-
rą trzymała Rozamunda i modlił
się w duchu, by żona nie obróciła
go na brzuch i znowu nie zaczęła
okładać.

(Erskine Caldwell, „Poletko Pa-
na Boga”. Ze względu na uczącą
się młodzież publikujemy jedynie
zakończenie interesującej sceny).

PRAGNĘ KORESPONDOWAĆ *)



*) Niniejsze okienko otwarte
zostaje dla zawiązania przyjaciel-
skich więzi i kontaktów między
naszymi czytelnikami płci obojga.

Osoby zainteresowane prosimy o
listowne skomunikowanie się z re-
dakcją.

„Lunapark” — tygodnik spo-
łeczno-kulturalny. Redaguje ko-
legium. Adres redakcji: Łódź,
Piotrkowska 98. Listy prosimy
adresować „Odgłosy” z adnotacją:
„dla Lunaparku”.



CZY ZGŁOSIŁEŚ JUŻ SWOJĄ
PROPOZYCJĘ W ZWIĄZKU Z
WYBOREM „MISS LUNAPARK
58”?

GINĄ ZWIERZĘTA!

Niejaki Szweczyk zgładził spo-
sobem skrytobójczym ostatni okaz
krajowego smoka. Smok struł się
baranem faszerowanym starką.
Jeszcze jedna ofiara krakowskiej
kuchni!

DR. PAWEŁ LEVOISSIER

O NIEWIERNOŚCI MĘSKIEJ (II)

Przestrogi i rady dla kobiet

Który to człowiek z młodzień-
czych wyrósłszy lat, z matczynej
wyrwawszy się opieki, nie błądzi
po tym świecie, nie szuka duszy
przyjaznej i pokrewnej? Inaczej
jednak rozwija się życie mężczyz-
ny i kobiety w tym pierwszym
okresie dojrzałości, kiedy fizycznie
człowiek zdolny już jest do speł-
niania wszelkich funkcji fizjo-
logicznej natury, umysłowo zaś
jest jeszcze bardzo ograniczony.
(d. c. n.)

MODA



Modny w tym sezonie kostium
nylonowy

KĄCIK ROZRYWEK UMYSŁOWYCH



Początkowe litery znalezionych
słów zastąpione odpowiednimi cy-
frami dadzą w odpowiednim po-
rządku numery butów znanych
literatów łódzkich.

odgłosy str. 11

Uwagi przed premierą

PIĘKNA MYLENE I CZARY

Był już film pt. „Czarownica” (z uroczą Mariną Vlady) — topiono kobietę za koneszchty z diabłem w filmie „Dzień gniewu” (Carla Dreyera), a teraz na ekrany nasze wchodzi głośne dzieło „Czarownice z Salem” w reżyserii Raymonda Rouleau. Rzecz jasna — wo — „głośne dzieło” o pierwowzór dramatyczny obrazu — kapitalna sztuka Artura Millera, przepisana dla potrzeb i wymogów filmu przez Jeana Paula Sartre'a. Zresztą sztuka została „ufilmowana” w sposób raczej nieznaczny, adaptacja poszła po linii ujednolicenia dramatu, poświęcając sporo Millerowych myśli dla wygrania konfliktu osobistego małżeństwa Elisabeth (Simone Signoret) i Johna (Ives Montand).

Wstawki pleneru i cały bagaż konwencjonalnych, filmowych atrakcji nie przesądziły o istocie rzeczy. „Czarownice z Salem” pozostały widowiskiem, które także się oglądać niejako z osobna, bez wnikania w skomplikowane kwestie warsztatu nowoczesnego kina. Ten film rezygnuje bowiem z efektownych zamierzeń, nie znajdziemy w nim szokującego montażu czy niezwykłych ustawień kamery. Pokazano widowisko w konwencji na pół scenicznej, a na pół literackiej. Jest to konwencja o wyraźnym zamiarze „ponadfilmowym”, sztywna z zabawnymi w zasadzie przepisami

DZIAŁ GRATULACJI

Na ekranach łódzkich kin wyświetlany jest kapitalny filmik oświatowy pt. „Podwójne życie wazki”. Reżyserem filmu jest Stanisław Kokesz, przeurocze, barwne zdjęcia wykonał Bolesław Baczynski, a rzeczowy i do wciplny zarazem komentarz napisała Ariadna Demkowska. Autorem filmu i producentowi — Wytwórci Filmów Oświatowych składamy serdeczne gratulacje.



kina. Dlatego trudno oceniać „Czarownice z Salem” jako film, acz zarazem mamy do czynienia z paradoksem: jest to jeden z najlepszych filmów, jakie w tym roku zobaczymy jeszcze na ekranie.

Na metodzie, która leżała u podstaw pracy scenarzysty i reżysera — najlepiej wyszli... aktorzy. Tutaj kamera ma czas, nigdzie się nie spieszy, niczego nie musi pokazywać w międzyczasie. Dlatego Simone Signoret, Yves Montand i debiutująca wówczas Mylene Demongeot mogli stworzyć dużej miary kreacje. Oczywiście w wypadku Mylene Demongeot wymiar kreacji jest mniejszy, jej gra jest zbyt sceniczna, przesarzowana. Ale za to obsadzenie Mylene w roli Abigail było trafne. Ta aktorka posiada bowiem warunki zewnętrzne dające aż nadmiar tzw. rekompensaty. Scena erotyczna Abigail i Johna Pretora wygląda dzięki temu dosyć absorbująco i będzie niezłym magnesem ściągającym tłumy do kina.

„Czarownice z Salem” — to po „Złotym Kasku” drugie już kapitalne obsadzenie Simone Signoret w roli jak gdyby dla niej wymyślonej. O ile w „Złotym Kasku” Simone znalazła w finale scenę, gdzie na miejscu było jej wyszukane okrucieństwo (obserwowanie z okna hotelu egzekucji ukochanego), tak w „Czarownicach z Salem” Simone jako Elisabeth musi zacząć od zimnego okrucieństwa, żeby ulec przeobrażeniu dopiero pod koniec obrazu.

W tym filmie przyszło nam odkryć także Yvesa Montanda. Ten popularny aktor i piosenkarz, którego znamy z szeregu filmów i z widzenia (koncert w Warszawie) — objawia się tutaj jako aktor dramatyczny wysokiej miary.

Tyle o realizacji i aktorach, choć można by jeszcze dużo napisać o rolach epizodycznych, obsadzonych na ogół bezbłędnie, a niekiedy wręcz znakomicie (dzieci!) Trzeba jednak —

piszącego to nie ominię — odpowiedzieć na zasadnicze pytanie, dotyczące sensu całego widowiska. Otóż „Czarownice z Salem” to rzecz przede wszystkim filozoficzna, może nie tyle odkrywczą pod względem samej koncepcji — co na pewno fenomenalnie skonstruowana. Warto zauważyć, że zasadnicza rozgrywka psychologiczna zawija się się wówczas, gdy dramat w zasadzie jest już rozwikłany i ma się na ukończeniu. Wszystko co było przedtem okazuje się tylko mało w istocie ważną ekspozycją, która wykonała co



do niej należało — zgromadziła osoby dramatu w sytuację zasadniczą, gdy padają najważniejsze słowa i pojawiają się czyny.

Sporo było na naszych ekranach filmów, w których występowały czarownice. Sporó procesów współczesnych czarownic mogliśmy także zobaczyć na własne oczy. Szlachetna wielce sztuka Millera oskarża wszystkie bez wyjątku procesy tego typu — bez względu na epokę i ich miejsce na kuli ziemskiej.

METODY

EKRANIK

Film o polskich kowbojach

Pierwszy film o polskich kowbojach pracujących w Bieszczadach — to „Rancho”, realizowane obecnie przez Wadima Berestowskiego wg scenariusza, który napisał Józef Hen. Zdjęcia do filmu wykonuje Romuald Kropat. Początkowo film miał być realizowany w dwóch wersjach: zwykłej i panoramicznej. Niestety, skończyło się na jednej. Tradycyjnicy. W filmie „Rancho” zobaczymy Bogusza Billewskiego, Józefa Nowaka, Wandę Koczewską i innych. Obecnie ekipa skończyła plenery pod Wrocławiem (kamieniołomy) i udała się w Bieszczady.



Japońska inwazja na Hollywood

Publiczności amerykańskiej zdziwiły się już krajowe i europejskie kociaki seryjnej produkcji. Publiczności amerykańskiej sprzykrzyły się już elektryczne lodówki, opływowe limuzyny i luksusowe wille. Publiczności amerykańska chce egzotyki, bajecznych strojów, nie znanych i tajemniczych łądów, oroków romantycznej przygody. W tym być może tkwi przyczyna ogromnego powodzenia, jakim cieszą się w USA filmy o japońskiej tematyce, obsadzone japońskimi aktorami, takie, jak „Mały herbaciany domek” i „Sayonara” (z Marlonem Brando). W grę wchodzi również i kwestie poważniejszej natury. W filmach o tematyce japońskiej można z dużą swobodą poruszać zagadnienia rasowe, żywo interesujące amerykańską opinię publiczną. Krytyka zwraca uwagę na oryginalną grę aktorów japońskich, przelamującą tradycyjne konwencje gry na Zachodzie. Obecnie 3 nowe gwiazdy japońskie przybyły do Hollywood. Elko Ando gra wraz z John Wayne w „Barbarzyńcy i gejszy”, Li-Li-Hua wraz z Victorem Mature w „Chińskiej laleczce” Nobu Atsumi wystąpi zaś u boku znakomitego aktora filmu niemiego Sessue Hayakawa (japoński pułkownik w „Moście na rzecę Kwai”) w „The Geisha Boy”, SKAT

Wieczorni goście

Oto — po „Hotel du Nord” pojawia się na krótko na naszych ekranach inny, także dawny film Marcela Carne: „Wieczorni goście”. Jest to obraz dosyć niezwykły, różniący się zasadniczo od całej twórczości ówczesnej autora „Ludzi za mgłą”. Miejsce katastrofizmowi zajmuje w „Wieczornych gościach” idea wręcz przeciwna. Zło jest tutaj bezsilne, zło jest bezradne. Może zwyciężyć, może się unicestwić fizycznie, ale w ostatecznym rachunku musi skapitulować. W kamiennych posagach pozostają bijące, żywe ludzkie serca. Ten finał obrazu miał swoje znaczenie, gdy „Wieczorni goście” — jak widać „film z kłuczem” — wyświetlany był we Francji, gdy w kraju panowały się okupacyjne wojska niemieckie.

„Wieczorni goście” są u nas filmem spóźnionym, filmem z innej epoki, operującym innymi chwytami natury stylistycznej niż obrazy współczesne. Ale jest w „Wieczornych gościach” owa — jakże trudna do stworzenia na ekranie — atmosfera baśni. Dla niej, dla Arletty i niepowtarzalnego uroku niejednej sekwencji tego filmu — pilnie trzeba śledzić programy kin, gdy na kilka dni pojawi się w nich tytuł: „Wieczorni goście”.



MIEŁOŚĆ CZY HONOR RODU?

Parę miesięcy temu prasa światowa trzęsła się od plotek na temat nieudanego samobójstwa pięknej gwiazdy filmowej Belindy Lee i włoskiego księcia Filipa Orsini. Sek całej sprawy tkwi w tym, że jego księżka żęca mość ma żonę, a we Włoszech rozwodzić się nie można, chyba pod grozą powszechnej infamii, a co gorsze: aresztu i kary za bigamię. Jak ma postąpić

w takiej sytuacji potomek rodu, który ofiarował światu 40 kardynałów, 11 królów i 5 papieży? Serce, jak mówią, nie służy. Tymczasem małżonka weszła przeciwko Orsiniemu do sądu, oskarżając go o „namawianie do cudzołóstwa”. Księżkę zaś został w małżeństwie przywrócić do życia, a ślub wzięty by prawdziwie w Las Vegas. Na razie piękna Angielka odzyskała dobry humor i pogodny wygląd, co zdaje się potwierdzać ploteczki nie-dyskretnych dziennikarzy. SKAT

105 minut w kinie

ZBRODNIĄ I KARĄ

Finał pamiętam na pamięć, od słów „Gęsta, mleczna mgła wisiała nad miastem” po owe „Swidrygajłow spuścił kurek”. No tak, każdy ma w „Zbrodni i karze” Flodora Dostojewskiego swoje ulubione strony. I ja mam także: — śmierć Swidrygajłowa. Całą sekwencję, ciągnącą się zresztą przez wiele kurtki. Czekając na nią przecierpiałem prawie cały film Lampina. Gdy Swidrygajłow (przepraszam! Monestier) — odbiera pistolet z ręki Nicole, wtedy wszystko jest jeszcze w porządku. Może nie dzięki reżyserowi i scenarzyście, ale za sprawą Bernarda Bliera. Ale potem... Przecież o tych liniach, na ich partyturze można było zrobić cały, jakże bogaty film! Tymczasem właśnie ta scena jest w filmowej „Zbrodni i karze” bardziej niż inne żenująca, deklaratywna, fałszywa w swoim niepotrzebnym patosie i szlachcizna.

Co za absurd! Akurat tu, w tej pokazowej scenie ani przez chwilę nie ma Dosto-

jewskiego, urok pierwowzoru zapodział się gdzieś, przypadł bez reszty. Uduchowiona prostytutka jest nieznośna, razem ze swoją wiarą w odkupienie. W ogóle co za moda na prostytutki 6 skomplikowanej psychice? Nawet Welles pomieścił takową (Marlene Dietrich) w swoim „Dotknięciu zła”. O ile bliższa, bardziej bezpośrednia była Soma? Czuła to i owo, a jakże, nawet modliła się i pragnęła zaszczyć w Raskolnikowie bojaźń bożą. Ale nie czyniła tego, ani nie mówiła w tak okropny sposób. Kto tu winien? Scenarzysta? Reżyser? A może redaktorzy polskich tekstów? Tego nikt nie sprawdzi. Mowy nie ma o konfrontacji. Dubbing...

Film zdubbingowany nieźle, Mirosław Bartoszek jest inteligentnym i zdolnym reżyserem. Dowiódł tego opracowując polską wersję „Zbrodni i kary” — co najmniej poprawnie, a w naszych warunkach to znaczy bardzo wiele. Znalazł świetnego zastępcę dla Hosseina (Holoubek!), zresztą inne



głosy także zostały trafnie rozdzielone. Ale ruszenie „Zbrodni” i tak było aktem wyjątkowej odwagi cywilnej. Ileż winy scenarzysty i reżysera spaść może teraz na autorów dubbingu?

„Zbrodni i karę” oglądać można w sposób dwójaki. Jako adaptację i w zupełnym oderwaniu od powieści Dostojewskiego. W pierwszym wypadku mamy do czynienia z niedobrą adaptacją, w drugim zaś — ze słabym, gorzej niż przeciętnym filmem, którego nie ratuje staranna obsada aktorska. Ale oba sposoby oglądania „Zbrodni i kary”

zawodzą. Nie można traktować „Zbrodni i kary” jako adaptacji, bo się reżyser zarzeka, że to adaptacja bynajmniej nie jest, że to tylko pomysł Dostojewskiego został wykorzystany. I nie można, mimo najszerszych chęci oglądać filmu Lampina w oderwaniu od pierwowzoru, bo Dostojewski dyryguje naszą wyobraźnią i bezustannie coś dopowiada do obrazu. Słowem: sytuacja bez wyjścia. Film się przełamuje między palcami. W takim momencie najlepiej uciec się do notowania faktów.

FAKT 1. Reżyser zdecydował się na bardzo luźny związek z powieścią. Istotnie pożyczyl od Dostojewskiego jedynie zasadniczy pomysł anegdoty: mord, perypetie psychologiczne a dalej powiązania rodzinne i uczuciowe zabójcy. Aż po jego decyzję.

FAKT 2. Dramat został uwspółcześniony i przeniesiony do Francji. Uwspółcześnienie jeszcze nie przeszkadza, może tylko rozbija trochę nastrój. Bohaterowie mogą być otoczeni bliższym nam światem, mogą chodzić do kina. Gorzej z przeniesieniem w inną szerokość geograficzną, gdzie jak wiadomo mentalność się zmienia i psychologiczna warstwa rzeczy traci na prawdziwości.

FAKT 3. Koncepcja filmu jest niejasna. Lekka ręką odrzucone zostały „grające” wątki, bez których rzecz poka w szwach i tłumaczy się tylko dzięki pomocy zapamiętanych fragmentów z Dostojewskiego. Oto dlaczego film ten nie może być utworem samodzielnym, oderwanym od powieściowej kanwy. Żaden czyn i żadna decyzja bohaterów filmowego dramatu nie posiada wystarczającej motywacji psychologicznej. I gdzie zniknęło przemilczenie, niedopowiedzenie itp. subtelności?

FAKT 4. Dostojewski przytacza. Czytanie „Zbrodni i

kary” jest wielodniową męką i kończy się nieodmiennie powrotem. Film Lampina oglądamy obojętnie. Mnęj niż zwykle absorbuje nas niepokojąca uroda Mariny Vlady. Powieść była i jest przeżywcem, film tylko rozrywka, choć z drugiej strony — trudniej by było znaleźć lepsze go Raskolnikowa niż Hossein. Przynajmniej pod względem fizycznym.

KONKLUZJA: Po filmie Lampina śpijmy spokojnie, przy zgaszonym świetle — EDWARD ETLER

POSTSCRIPTUM: Powieść Dostojewskiego wbrew pozorom jest bezustannym dramatem samotności. Od pierwszej strony aż do końca. Historia kina nie zanotowała jeszcze filmu, który by potrafił pokazać samotność człowieka i jego życie wewnętrzne. Film może wkroczyć w domenę literatury, ale zastąpić jej nie potrafi. To chyba cała tajemnica.

*) Film produkcji francuskiej. Reżyseria Georges Lampin, scenariusz Charles Spaak, zdjęcia Claude Renoir, muzyka Maurice Thiriet. Wykonawcy: Robert Hossein, Jean Gabin, Marina Vlady, Ulla Jacobson, Bernard Blier i inni. Reżyser polskiej wersji językowej: Mirosław Bartoszek (wychowanek Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi).